SYN MARNOTRAWNY.

SYN
MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII WIEKU.

PRZEZ

Józ. Ig. Kraszewskiego.

(Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj).

Tom I.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
przy ulicy Elektoralnej Nr. 14.

1878.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1878 года.

K. WŁ. WÓJCICKIEMU

NA PAMIĄTKĘ JEGO JUBILEUSZU

PRZESYŁA

Autor.

Drezno, 1877.

I.

Było to dnia 24 lipca 1788 roku. Doktor Joachim Mellini, stary człek, stał spokojnie przed swoim dworkiem na Winiarach, używając, a raczéj szukając świeżego powietrza, którego w swoich izdebkach znaleźć nie mógł. Wieczór był dosyć późny, powietrze duszące i ciężkie, jak przed burzą, choć na niebie się ona nie zwiastowała; na północy tylko, gdzie wiele chmur nie widać było, kiedy niekiedy pobłyskiwało słabo.

W mieście i na przedmieściu panowała cisza letniego wieczoru, z rzadka przerywana głuchym, dalekim wozu turkotem. Powietrzem nieporuszoném żadnym powiewem, gorącém, gęstém, trudno było oddychać. Po dworkach gdzieniegdzie rzadkie zapalały się światełka, okna wszędzie stały otworem, bo każdy pragnął pochwycić trochę świeżości, któréj nigdzie nie było.

Doktor mało co ubrany, ze swą łysą jak kolano głową, okrągłym brzuszkiem, przymrużonemi oczyma, cały w bieli jak widmo malował się na ciemném tle drzwi otwartych domku swojego.

Z niedalekiego dworku zamieszkałego przez pobożnego izraelitę dochodził go płaczliwy głos modlitwy wieczornéj, tak jakoś rzewny, tak zbolały, że stary Mellini, który wiele sentymentalnym nie był, uczuł się nim poruszonym.

Nigdy może te niezrozumiałe dźwięki wygnańczéj modlitwy, takiego na nim nie uczyniły wrażenia! Był to jęk tysięcoletniéj boleści, z pokolenia w pokolenie podawanéj, spotęgowanéj wiekami.

Doktor zadumał się głęboko... wtém inny krzyk i wołanie, niezbyt daleko się rozległo. Drgnął. Zdało mu się że słyszy głos swéj siostrzenicy Pepity, na któréj powrót od sąsiadki pani Strańskiéj oczekiwał właśnie. Modlitwa na chwilę ucichła, jakby w łkaniu łzawém

połknięta, i doktor nastawiwszy ucha, chwycił niém wyraźne nawoływanie siebie.

Zdziwiło go to i przestraszyło razem. Był to głos Pepity: nie mógł się omylić. Cóż się jéj stało? Była więc w niebezpieczeństwie? wzywała ratunku!

Nie troszcząc się o dworek stojący otworem, ani o ubranie swe do wyjścia niezbyt właściwe, doktor jak stał rzucił się biedz o ile mógł w stronę, z któréj go wciąż wołanie dochodziło.

Biedz właściwie nie mógł, bo i wiek i otyłość dawno mu wszelką myśl biegu z głowy wybiły; szedł jak mógł najśpieszniéj, potykając się w mroku, co chwila zagrożony upadkiem, wywijając rękami rozpaczliwie, które mu do utrzymywania równowagi posiłkowały.

Zdyszany, coraz prędzéj krocząc po kamieniach i dziurach, które ostatnia ulewa powybijała, doktor ujrzał nareszcie postać w bieli stojącą u węgła domu z załamanemi rękami. Dom ten był znaną dobrze winiarnią Seliga Pesztaner'a, i, co rzecz była naówczas prawie nie praktykowana, paliła się przed nim latarnia. Niedaleko od niéj stała Pepita, dzięki Bogu na oko cała, zdrowa... i sama jedna.

Doktor odetchnął, zbliżywszy się dopiero dostrzegł że przed nią leżało coś na ziemi, ku czemu piękna Pepita zwracała coraz oczy, a ile razy spojrzała, jęk się z jéj piersi dobywał.

Doktor już miał połajać swoję ukochaną że mu takiego strachu narobiła, gdy Pepita, zobaczywszy go, wołać poczęła:

— Chodź prędzéj! na miłość Boga! Jakież nieszczęście się tu stało! Prędzéj! prędzéj!

Mellini już śpieszniéj iść nie mógł, tchu mu brakło, zbliżył się do latarni: pod słupem jéj ujrzał leżącego człowieka. Cały blask nie zbyt rzęsisty zapalonych dwu świeczek u góry, padał na piersi i twarz tego nad którym stała Pepita.

Sądził z razu doktor że miał do czynienia z pijanym tylko; ale w téj chwili ośmielone dziewczę krzyknęło i pochyliło się nad leżącym.

Mellini dostrzegł dopiero że głowa i piersi omdlałego czy dogorywającego człowieka całe krwią były zbroczone. Był to obraz, który nietylko słabe, litościwe dziewczę mógł przejąć zgrozą i natchnąć miłosierdziem.

Padające na twarz światło dawało rozpoznać śliczną głowę młodzieńca, jakoby z marmuru wykutą, rysów tak szlachetnych, tak artystycznie pięknych, że doktor mający we krwi swéj włoskiéj poczucie

wielkie kunsztu, zapatrzał się z razu na to oblicze jakby na dzieło sztuki. Usta napół otwarte, które boleść zdrętwiła, miały wyraz męztwa i pogardy; ręką skostniałą trzymał się za piersi poranione, na których suknia zbroczona była i potargana. Złamana szabla leżała przy nim. Był to widocznie jakiś ostatni akt krwawego dramatu, którego sprawcy umknęli.

Doktor śpiesznie schylił się nad ciałem, przyłożył ucho. Pierś dyszała jeszcze, ciało drgało, a z ust wyrywał się jakiś straszny głos chrypliwy, jakby ranny dogorywał. Mellini natychmiast, o ile ciemność dozwalała, począł badać i oglądać pokaleczonego.

Pepita, z oczyma wlepionémi, stała nad nim, badając i twarz młodzieńca i zasępione oblicze wuja, który podnosił głowę zlekka, przyglądał się ranom a milczał.

W końcu zawołał wstając:

— Ależ go tu tak pod tém gołém niebem, na ziemi, nawet ratować nie można! Cóż to się stało....

— Ja nie wiém—poczęła Pepita—nadeszłam na ten widok straszny i zaczęłam wołać na was.

Doktor wstał niespokojny.

— Przecież ktoś w tym domu być musi. Czy nie słyszeli?

I rezolutnie skierował się ku drzwiom winiarni. Drzwi stały zaparte: Mellini gniewać się począł.

— Co u licha!—krzyknął, bijąc w okiennicę—otwiérać!...

Zapewne głos jego poznać musiano, gdyż z wewnątrz poczęło się okno otwiérać, uchylono i okiennicę; głowa na wychudłéj szyi pokazała się, ostróżnie rozglądając.

— Ranny człek leży pod waszémi drzwiami—zawołał doktor.

— My nic nie wiémy! my nic nie wiémy!—odezwało się naraz aż dwa głosy przestraszone—u nas nikogo nie było!

— Nie można tak go tu porzucić jak psa!—odezwał się Mellini—potrzeba go do izby wziąć ażebym mógł opatrzéć.

— A! gwałt!—zawołał jeden z głosów w oknie.—Panie konsyliarzu! to nie może być! W naszym domu krew i takie historye! żeby, chowaj Boże, umiérał, to nie może być!

— To nie może być!—powtórzyło z wnętrza naraz aż trzy głosy.—Aj! gwałt!...

Mellini, choć zwykle spokojny i szyderski, tym razem się pogniéwał.

— Niech was tam!...—krzyknął.—Boicie się wszystkiego, gdy człowiekowi życie ratować potrzeba.... A lepiéj będzie, gdy tu wam pod bramą zemrze.... Ja poświadczę, żeście mi pomocy nie dali.

Wewnątrz szemrać i naradzać się poczęto. Słychać było spór i łajanie, męzkie i kobiéce głosy; doktor stał, coraz się bardziéj niecierpliwiąc.

— U nas miejsca niéma!—zawołała głowa na cienkiéj szyi.— I kilka głosów za nią powtórzyło:—Niéma miejsca!

Mellini, człek wielkiego serca, oburzył się.

— Selig, słyszysz! dwóch mi daj natychmiast ludzi, żeby go do mnie zanieśli. Do mnie! Pal was dyabli z waszém miejscem, ja go nie potrzebuję, ale rąk mi potrzeba i te muszę mieć. Zaraz mi tu dać koc czy derę, czy co chcecie i waszych myszuresów, żeby go do mnie zanieśli! Albo no..... *per Dio!* poznacie mnie!

Pogroził pięścią ściśniętą.

Zdaje się, że téj demonstracyi już nawet nie było potrzeba. Ruszyło się wszystko we wnętrzu winiarni, zawieruszyło i po chwili drzwi odryglowano. Chłopców aż trzech szło, niosąc dywanik stary.

Przez cały czas tego parlamentowania u okna Seliga, Pepita stała wpatrzona w leżącego na ziemi młodzieńca. Oczów od niego oderwać nie mogła. Twarz ta już napół całunem śmierci okryta, pociągała ją jakimś urokiem, z którego dziewczę sobie sprawy zdać nie umiało. Było w niéj coś dla niéj nieznanego, jakaś męzka buta, coś heroicznego, wyraz jakiś odwagi i wzgardy śmierci, a zarazem bolu straszliwego; był wdzięk młodości bujnéj, pańskiéj, królewskiéj, był wdzięk królewski, także królowéj życia, młodości. Ten pół trupa, na rozrzuconych ciemnych włosach, spoczywająca głowa krwawa, zbladła, ciągnęła ją za sobą w śmierci otchłanie. Litość ściskała młode jéj serce!

Trzebaż było téj istocie, tak zbrojno do pięknego życia stworzonéj, w progu jego umiérać?

I łzy toczyły się po ślicznéj twarzyczce Pepity. A gdyby omdlały, ów młodzieniec zobaczył ją téż był, tak nad sobą z rękami załamanémi stojącą, załzawioną i onby może dla niéj uciekającego pożałował życia. Bo i ona śliczną była.

Kwiatek ten dziwnéj urody miał w sobie dwoistą piękność: kroplę krwi Południa i krew dzieci Północy. Matka jéj była włoszką, ojciec polak, z obojga wzięło dziewczę co mieli najpiękniejszego: włoski

włos i oczy czarne ogniste, płeć świeżą i wdzięk niewysławiony naszéj ziemi. Dziecię tych dwojga plemion było cudem piękności w pączku jeszcze, z tym wdziękiem naiwnym dziecięcia, który mu daje aureolę aniołów. Wychowanie ani życie nie starło z jéj oblicza tego puszku kwiatowego i dusza jéj jeszcze się tak uśmiechniono otwiérała do świata, jak kielich lilii do słońca.

Lekko ubrana, a raczéj przyodziana tylko sukienką prostą, z chusteczką na ramionach, z włosami niedbale związanémi, które się z więzów wymykały nieposłuszne, spadając na białe popiersie dziewczęcia, Pepita, choć ją za ubogą sługę wziąć było można z niedbałego stroju, miała postawę i ruchy królowéj.

Gdy ludzie nadeszli i doktor z niemi, nieco zawstydzona, usunęła się Pepita na bok, ale oczy jéj nie zeszły z leżącego i trwoga malowała się na pięknéj twarzyczce.

Doktor sam schyliwszy się, choć mu to z ciężkością przychodziło, począł pomagać niezgrabnym i trwożliwym żydkom, którzy wielki wstręt okazywali do zetknięcia się z ranionym. Połajał ich nawet. Pepita ruszyła się, jakby chciała sama przyjść w pomoc i na ratunek, ale się zawstydziła, zawahała i stała spoglądając na wuja, gdy Mellini, podniósłszy ku niéj oczy, przebąknął:

— Nie masz co tu stać! idź przodem, przygotuj moje łóżko, a nie to sofę w pokoju, żeby go gdzie było złożyć....

— U mnie!—odezwało się półgłosem dziewczę.

Doktor już nic nie odpowiedział, bo był zajęty umieszczeniem wygodném głowy chorego na dywaniku i sam ją z ziemi podnosił. Pepita, zawahawszy się nieco, pobiegła ku dworkowi...

Odchodząc usłyszała jęk, który się dobył z piersi rannego i zarumieniona, z bijącém sercem, pośpieszyła przodem.

Obok dworku doktora mieszkał felczer, którego on używał. Pepita, z troskliwością i przytomnością prawdziwie niewieścią, po drodze podbiegła do okna i wywołała starego Kerna, który, choć nie mógł zrozumiéć po co go wołano, odział się i wyszedł za nią.

Mellini prowadził żydków, niosących rannego, podtrzymując mu głowę i kierując ich pochodem. Zobaczywszy Kerna, chudego, małego starowinę, dał mu znak.

— Bandaże!—zawołał....

Zbliżali się do drzwi dworku, w którym już biegające światło widać było. Pepita ze starą swą ochmistrzynią Gawłowską krzątała się

na przyjęcie chorego... Kern z bandażami szedł za nim, a w dali, narzuciwszy na ramiona opończę, w pantoflach, bez czapki, w jarmułce tylko, kroczył powoli gospodarz winiarni, stary Selig, pragnący widać wytłómaczyć się przed doktorem, który nań wcale nie zważał.

W progu ze świécą czekała Pepita, jedną ręką unosząc ją, drugą poprawiając chusteczkę. Gawłowska, stojąca nieco opodal, która to dziecię wychowała, choć niewiasta ciekawa, nie mogła się jednak powstrzymać od wpatrzenia w twarzyczkę Pepity, bo nigdy jéj jeszcze tak strasznie poruszoną nie widziała. Dziewczę drżało całe i lichtarz ze świécą kołysał się w jéj ręku.

Rozkazującym niemal głosem odezwała się Pepita do niosących:

— Do mojego pokoju!

Doktor podniósł głowę.

— Co znowu!

— Tam będzie najlepiéj, spokojnie. Ja się przeniosę do Gawłowskiéj—dodała i powtórzyła stanowczo:—do mojego pokoju!

Mellini coś zamruczał, ale się nie sprzeciwiał; poniesiono chorego na prawo, do pokoiku, w którym łóżko już usłane nań czekało. Pepita została w progu, Kern z doktorem i posługaczami weszli sami. Drzwi się zamknęły za niemi.

Nieco opodal, z głową zwieszoną, zadumany, stał Selig, widocznie z jakiémś objaśnieniem, czekając na doktora.

Przez zapuszczone firanki izdebki panieńskiéj widać było tylko migające światło.

Dziewczę z Gawłowską zostało w sieni.

— E! niech bo panienka ztąd idzie!—odezwała się ochmistrzyni.—Cóż my tu wystojemy! Co bo znowu przepadać za jakimś pijaczyną, co go porąbali!

Spojrzała na wychowankę, która jéj potrząśnięciem głowy odpowiedziała tylko, ale się nie ruszyła krokiem.

Z izdebki, do któréj wniesiono rannego, dał się słyszeć jęk, potém westchnienie, głos mrukliwy Melliniego, i znowu potém ucichło. Gawłowska już nie próbowała odciągać Pepity, która z uchem prawie do drzwi przyłożoném, pilno śledziła najmniejszy szelest ze wnętrza dochodzący.

Trwało to dosyć długo. Odezwał się krzykiem rozbudzony z omdlenia ranny, i widać mu wysilanie się to zakazano, bo zamilkł zaraz.

— Żyje!—zawołało dziewczę do Gawłowskiéj—żyje!

Ochmistrzyni ruszyła ramionami. W téj chwili dały się słyszeć kroki doktora, idącego ku drzwiom, i Pepita odsunęła się od nich nieco.

Mellini wyszedł ręce wyciągając zakrwawione i wołając:

— Wody!

— Będzie żyć?—pośpiesznie zapytała Pepita.

Wuj popatrzał na nią i uśmiechnął się.

— Zdaje się, że się wyliże! — odparł ze zwykłą sobie pozorną obojętnością.

Siostrzenica pośpieszyła za nim kilka kroków, chcąc się coś więcéj dowiedzieć.

Szydersko popatrzał na nią stary, i myjąc ręce, począł:

— A! wy! wy synogarlice! Żeby tak jaki stary dziad z siwą brodą, kulawy, łysy, znalazł się jejmościance na gościńcu, dalipan! że takbyś się jego życiem i zdrowiem nie zajmowała bardzo. Ale chłopak ładny!...

Doktor się rozśmiał, Pepita zarumieniła, i ruszywszy ramionami, odwróciła. Tuż stał Selig, czekający na to, aby Melliniego pochwycić. Zobaczył go stary.

— A ty czego chcesz?—spytał.

— Dwa słówka do pana konsyliarza...

Pepita wyszła trochę nadąsana. Selig wszedł, poprawiając jarmułkę i płaszcz na ramionach przewieszony.

— Ja tyle panu konsyliarzowi chciałem powiedzieć — odezwał się, przystępując ku niemu, zniżonym głosem winiarz — ja tyle panu konsyliarzowi powiem, co mnie się należy. Pan jest człowiek rozumny, panu wiele gadać nie trzeba.

Mellini patrzał z wyrazem dobrodusznéj ironii.

— Ja tu nic nie winien—kończył Selig—na moje dzieci i wnuki! bodaj zdrowe były! ja tu nie winien i — na tyle. Przyszli, może ich było sześć, a może siedem, wszystko takie byki wesołe, co strach! — Wina! — Czemu ja im nie miałem wina dać? Na co u mnie wino ma stać? Ja jego tam nie wypiję! Co ma skwaśnieć? Ja im postawiłem wina. I nie żadne osobliwe: dészczówkę. Wzięli pić! A gdzie tam! Zaraz: ty mordiaczu! tak i owak. Dawaj lepsze! Czy to my nie mamy czem płacić!? — Kazałem im dać gąsiorek wytrawnego. A co im gąsiorek! Jak wzięli chlać a chlać! i gąsiorek stłukli! Wołają znowu wina. Co ja im nie miał dać? Przynieśli drugi.

— Ale któż oni są? Kto to taki?—przerwał doktor.

Selig poruszył ramionami.

— Ten, co jego porąbali, choć on może trzy albo cztery razy u mnie pił, ja jego nie wiem, kto on taki. A ci co z nim pili, to nie żadne osobliwości, to od palestry tego tałałajstwa, co ono w dzień papier smaruje, a po nocach ludziom łby rozbija... To łajdaki, z przeproszeniem pana konsyliarza; i żeby on co lepszego był, onby się téż z takim szujem nie wdawał... Dobrze jemu tak.

— Jakże go zwali?

— Co ja słyszał, to tylko Wicek... a co ja mogę wiedzieć, jaki Wicek?

— Cóż było daléj? — zapyał Mellini, który już niecierpliwie ku drzwiom poglądał.

— Niechże pan konsyliarz posłucha do końca—westchnął Selig. — Koło drugiego gąsiorka, już zaczął ten (tu żyd palcem pokazał w stronę izby, w któréj leżał ranny), ten... kto jego wié? Wicek! z tamtych, co ich było sześć albo więcéj, drwić i kpić co wlazło. Z początku się śmieli pięć gdy on z szóstego drwił, ale jak ich po kolei oporządzać zaczął, w końcu, ja widzę, rwą się. A temu w to graj! im oni więcéj się burzą, tém ten bardziéj się śmieje, aż za boki trzyma, a wymyśla... Gryzipióry! a! i gorzéj daleko, co nie mogę powtórzyć. Naraz jak się oni wszyscy zerwą na niego... Zobaczyłem, że to nie żart, krew się będzie lać, tak ja wybiegł tam... U mnie tu nie żaden szlachtuz, idźcie sobie asanowie gdzie chcecie. U mnie dom uczciwy, w którym, broń Boże, żadnéj zabijatyki ja nie ścierpię... A oni już szabel podobywali i cisną na tego Wicka, a on śmiejąc się im odcina, i co chlaśnie, to plejzyruje... Aj! gwałt!... Szczęściem, łaska Pana Boga, że nie u mnie, tylko się wytoczyli precz za bramę, a ja Mordkowi kazał zaraz zamykać. Patrzę przez okno, a oni go na wszystkie strony wzięli, obstąpili, i rąbią już na kapustę. Tak ja sobie oczy zasłonił...

To mówiąc Selig, zakrył oczy znowu i zamilkł.

Mellini pogardliwie ramionami zżymnął.

— Na coś to lepszego wygląda, niż na takiego palestranta—dodał—ale licho go wié!

— Pewnie że jemu wygląda tak, jakby on się na wielkiego pana urodził, ale co to ma do tego?—dodał Selig—kiedy on Wicek!

Niechcąc już słuchać reszty, doktor do pacyenta dążył; Selig go zatrzymał.

— Niechże, uchowaj Boże, jakiéj mitręgi, pan konsyliarz mnie będzie świadkiem, że ja tu nie winienem nic. U mnie się to nie zrobiło. Dom uczciwy, w którym nigdy żadnego kryminału nie było.

Mellini popatrzał nań i z politowaniem się uśmiechnął. Żyd podniósł jarmułkę, potrząsł nią nad głową, pokłonił się nizko, i wyszedł, klapiąc pantoflami. Doktor na palcach wszedł do chorego, przy którym Kern siedział. Cisza panowała w domu. Pepita, którą Gawłowska gwałtownie do snu pędziła, łóżko jéj przygotowawszy u siebie, nieposłuszna biegała ciągle pode drzwi rannego, przysłuchiwała się niespokojnie i o położeniu się wcale nie myślała.

Zastał ją tak po północy w sieni stojącą Mellini i surowo napędził.

— A idźże mi ty spać!—zawołał—co cię tam korci ten błazen, którego posiekali! Nic mu nie będzie, a i nie wart, żebyś tak się o niego troszczyła, bo to jakiś szaławiła, palestrant, pijak i burda, — i dobrze mu!

Mellini nie odszedł już, póki siostrzenicy w ręce Gawłowskiéj nie oddał i nie polecił jéj, ażeby ją gwałtem spać położyła.

Słówko teraz o starym konsyliarzu, panu Joachimie, inaczéj Giacomo Mellini, który przed laty kilkudziesięciu dostał się do Polski z Saksonii. Był on synem jednego z tych licznych Włochów, których cała kolonia nad Elbą za Augusta Mocnego się osiedliła. W pobliżu królewskiego zamku, ubożsi z nich, wszelkiego powołania artyści, rzemieślnicy, aktorowie, zajmowali tak zwaną wieś włoską nad Elbą. Większa część tak się tu rozgościła, że już do kraju powracać nie chciała. Wielu z nich dzieci podochodziły w różnych gałęziach służby publicznéj wysokich stopni i przerodziły się w Sasów. Rodzice Melliniego, oboje Włosi, wychowali go jeszcze na Włocha, a choć i po niemiecku się chłopak nauczyć musiał, nigdy o swém pochodzeniu nie zapomniał, i był nim dumnym. Nadzwyczaj zdolny, choć przy ojcu sztukatorze trochę smaku i techniki się nauczył, okazywał tak wielką ochotę do nauk przyrodzonych, do medycyny, że go do Lipska oddano. Tu zaledwie skończywszy studya, gdy mu się w Saksonii zajęcie nie trafiło, dał się polskiemu panu Sapiezie wywieźć zagranicę. Został nadwornym jego doktorem, praktykował długo, naostatek uciuławszy trochę grosza, przeniósł się do Lublina. Młodszą siostrę sprowadził

do siebie i wydał ją tu za mąż, a gdy owdowiała, z córką ją wziął do siebie, naostatek po jéj śmierci opiekował się Pepitą.

Człowiek był niezwyczajny, umysłu przenikliwego, spokojnego ducha, usposobienia szyderskiego, pod spodem Włoch, na wierzchu trochę Niemiec, wreszcie długim pobytem w Rzeczypospolitéj spolaczały. Język włoski, który nadzwyczaj kochał, pomógł mu swym dźwiękiem do dobrego wyuczenia się po polsku. Mówił bardzo dobrze i poszewki niemieckiéj wcale w nim czuć nie było. W dodatku Niemców nie lubił i prześmiewał ich, ale i Polakom z nim nie lepiéj się działo.

Żartował sobie z nich, choć sympatyi dla nich miał więcéj.

Mellini nie żenił się nigdy. Znano go z różnych dziwactw a nadewszystko z wielkiéj serca dobroci, która zdawała się być w ciągłéj sprzeczności z językiem.

Na ludzi wygadywał co mógł najgorszego, posługując się wielkim zapasem włoskich przysłowiów, które wtrącał do każdéj prawie rozmowy; mimo to każdego nieszczęśliwego ratował i był dla téj biédnéj natury ludzkiéj tak pobłażającym jak nikt.

Dla niego wszystko było wytłumaczoném. W żywe oczy prześmiewał każdego, za oczyma uniewinniał. Niekiedy był tak nieopatrznie prawdomówny, że sobie robił nieprzyjaciół. Mówiono że i ze dworu Sapieżyńskiego, po długich latach służby i przyjaźni, wynosić się musiał w końcu coś językiem nagrzeszywszy.

Mellini jeśli kogo kochał w świecie więcéj niż w ogóle wszystkich, to może swoję wychowankę Pepitę. Najprzód przypominała mu ona matkę, potém siostrę, nareszcie jedną ją miał na świecie. Co porzucił niegdyś w Dreznie powinowatych, powymierało wszystko: był sam. We Włoszech z familii co się zostało, w tak biédnym było stanie i ciała i ducha, iż z nią obcować nie mógł. Posyłał im zapomogi, raz nawet podróż przedsięwziął do Medyolanu dla widzenia jakichś krewnych, ale wróciwszy nie mówił o nich ani słowa nikomu, nawet Pepicie.

Pod okiem wuja, trochę dziwaka, dziewczę wychowało się jakoś także nie zwyczajnie. Najprzód długo dosyć dawał jéj dziczéć prawie, chcąc, jak mówił, nieprzeszkadzać naturze w rozwinięciu się jéj z całą potęgą. Gdy, mimo to, dziecko okazywać zaczęło zdolności wielkie, uczył ją sam i dawał nauczycieli, nie żałując na to. Ale uczył szczególniéj tego, do czego dziecko samo miało popęd i ochotę. Cieszył się

dla swoich oczu pięknością nadzwyczajną Pepity, ale zarazem nie był jéj rad.

Rozmaite włoskie przysłowia przychodziły mu w pomoc przeciw piękności:

— *Belle donne, guerra in casa.* (Piękna kobiéta, wojnę do domu przynosi)...

La donna è come la castagna, bella di fuori e dentro ha la magagna. (Piękna kobiéta jest jak kasztan, po wierzchu gładka, a w środku chropawa), i t. d.

Wzdychał patrząc na Pepitę, i chował jak mógł od ludzkich oczów. Pepita nie wychodziła prawie na krok z domu sama, a wczorajsza wycieczka do sąsiadki, tylko dlatego była dozwoloną, że dworek jéj z okna widać było: we wszystkich dalszych wycieczkach towarzyszyła jéj Gawłowska. Być bardzo może iż dlatego nawet, osiadając w Lublinie, doktor się postarał o dworek na przedmieściu, aby samego miasta i gawiedzi trybunalskiéj uniknąć.

Pepita skazana prawie wyłącznie na towarzystwo wuja, którego kochała bardzo, poczciwéj lecz niezmiernie prostodusznéj Gawłowskiéj i kilku starszych a niewielu młodszych jejmości, wyrosła na istotę oryginalną. Miała jakąś nie kobiecą prawie swobodę i męztwo ducha. Było w tém coś nieopatrzności dziecięcéj, śmiałości w mowie doktora i żywości własnéj. Zarazem dziecinna i umysłem wykształcona, zastanawiała naiwnością przeplataną rozumem, tak że jedno z drugiém się nie mieszało. Umiała być i dzieckiem, które bawiło wszystko, i bardzo poważną niewiastą, patrzącą na świat z wysoka. Tego co się zwało wyższém i lepszém towarzystwem, Pepita wcale nie znała. Gdy do doktora przychodzili goście mężczyzni, nie lubił żeby się przed niemi pokazywała.

Nie mówił o tém nigdy, lecz w duszy bardzo mu było pilno zdać trudną opiekę i czuwanie nad tą niebezpieczną pięknością w ręce jakiego uczciwego człowieka. Za pana wydać jéj nie chciał, ażeby nie wyrzucano jéj potém plebejuszowskiego pochodzenia, a znał téż życie i sprawy ówczesnych magnatów, których się napatrzył w Saksonii, ba i w Polsce. Za bardzo prostego człowieka dać jéj téż nie mógł, boby jéj nie starczył rozumem a tego średniego któryby dla niéj przystał, znaleźć bardzo było trudno.

Czas jeszcze miał doktor, bo Pepita nie dochodziła lat dwudziestu i wcale się za mąż nie wyrywała. Mellini tylko w duchu dla swéj

otyłości i uderzeń krwi do głowy, obawiał się na siebie jakiego tragicznego, nagłego końca. To go niepokoiło. Prowadził życie czynne, był dosyć z zasady wstrzemięźliwy, ale w praktyce jeść dobrze lubił, a gdy się zapomniał, dużo... Wróciwszy do swego pokoju, gdy Pepitę spać wyprawił, a Kerna posadził przy chorym, zadumał się Mellini.

— Po co mi go było brać do domu?—zapytał się w duchu siebie.—Mogłem go umieścić u Seliga. Będzie z tym kłopot, dziewczyna ciekawa, a to wisus jakiś, z oczu mu źle patrzy.

Ma wprawdzie twarz piękną i arystokratyczną, ma coś w sobie pańskiego, i w mowie zdradza lepsze wychowanie; ale jawna rzecz że to w niwecz popsute: łotra kawał!

Trzeba go dokądkolwiek wytransportować. Pepita niezmiernie mu się przypatrywała i była nim zajęta. Litość jest głupią rzeczą w dziewczynie, bo komórka w której się ona mieści, graniczy z inną...

Namarszczył się Mellini, lecz wprędce rozchmurzył.

— A! ba!—rzekł robiąc sobie lemoniadę—ze strachu mi się widma roją!

II.

Rany tego nieszczęśliwego wisusa, wedle wyrażenia doktora, nie były tak straszne, jak się w początku wydawały. Krwi mu zbiegło dużo, cięcie w głowę było silne i mogło być niebezpieczne, gdyby się do kości dostało; szczęściem skórę tylko rozpłatało i wstrząśnięcie na mózg nie podziałało. Inne rany, których było kilkanaście na ramionach, plecach i piersiach, po dobrém opatrzeniu mogły się pogoić prędko. Pierwszego dnia leżał jak odurzony chłopak, dostał potém silnéj gorączki, w któréj śpiéwał, krzyczał, wyrywał się, miotał, łajał, ale po śnie głębokim i orzeźwiającym trzeciego dnia był już przytomny.

Gdy doktor przyszedł do niego, zastał go z obwiązaną głową, ale siedzącego na łóżku, jak gdyby się wybiérał w drogę.

Teraz dopiéro, gdy był już panem siebie i twarz do naturalnego swego wyrazu wróciła, doktor mógł się mu lepiéj przypatrzéć. Nadzwyczaj pięknych i regularnych rysów fizyognomia, miała wyraz osobliwy lekceważenia, goryczy razem i szyderstwa, pańskości jakiéjś i pogardy samego siebie.

Popatrzał na Melliniego uśmiechając się.

— A to pan byłeś łaskaw?—przebąknął.

Doktor, milcząc, głową poruszył.

— Jakie bo to ja mam szalone szczęście—dodał z ironią ranny;—ta szuja mnie pokiereszowała wszetecznie, a los chciał aby się to stało o trzy kroki od domu doktora. *Saperlo He!*

Wykrzyknik francuzki trochę zdumiał Melliniego.

— Z kimże mam honor?—spytał cicho, wpatrując się w niego.

— Daj-że pokój doktorze—rozśmiał się zagadnięty—ja nie jestem już z tych, z którymi się ma honor, ale których dyabli hodują.

Bądź jednak spokojny, bylem się trochę wylizał, ruszę w świat.

— No, ale któż pan jesteś?—zapytał Mellini—boć przecie słuszna rzecz....

A! słuszna! bardzo słuszna!—śmiejąc się ciągle mówił ranny. Ale się rozczarujesz, mój łaskawco; nazywam się Wicek Szarzak, jestem synem leśniczego z Końskiéj Woli. I po wszystkiém!

Dokończywszy, śmiać się zaczął mocno, ale go rany zabolały i syknął. Spojrzał na doktora, który ruszył ramionami.

— Słowo ci daję, mój dobroczyńco i salwatorze, jak mnie widzisz, tak mnie pisz. *Golissimus,* biédota, tylko tyle, że humor doskonały.

A kiedy myślicie wypuścić mnie znowu na zieloną paszę?—dodał.

Doktor poruszył głową, nie dając odpowiedzi.

— Bo, widzicie—ciągnął daléj ranny—muszę rachunek mój dokończyć z tą plugawą gawiedzią... Te plebejusze bestye, to ani pić ani bić nie umieją.... Wystaw sobie doktorze, sześciu takich drabów! żeby to było co poczciwego, byłbym dziś na nosiłkach. Teraz ja im muszę po osobno każdemu dać *pro memoria.*

— Bądź-no pan spokojnym i nie wiele mów!—rzekł doktor.

— Ale, nie obawiaj się o mnie—odparł ranny—mnie licho nie weźmie, właśnie dlatego, żeby to może komu było na rękę. Gdybym był na świecie potrzebny, a! to co innego; wtedy, bym się śpilką ukłuł i byłoby po mnie: a tak, ani pałką nie dobije!

Mellini wpatrywał sie w niego bacznie, a badawczy wzrok nie podobał się rannemu. Poprawił bandaż na głowie niecierpliwie.

— Co się to asan dobrodziéj tak wpatrujesz we mnie, hę! Może znajdujesz, że na syna leśniczego z Końskiéj Woli zanadto przyzwoicie wyglądam. Ale kto to może wiedziéć, czy tam nie zaszła jaka falsyfikacya?

Podparł się na stoliku i gorzko się śmiać począł.

— Dosyć żem Wicek Szarzak i basta!—dodał po chwili.

Mellini, słuchając go, z każdego słowa czytał, że miał z kim innym do czynienia.

— Możesz waćpan być i synem leśniczego i kim chcesz—odezwał się—a zawsze nie ciekawie się spisałeś wdając w burdę karczemną.

— A! za pozwoleniem—ironicznie przerwał ranny.—Co winiarnia, to nie szynk!

Palestranci, prawda, szuja, ale rodowita szlachta! Ba! ba...

— I waćpan téż szlachcic jesteś?—zapytał doktor.—Ja coś o szlachcie tego nazwiska nie słyszałem.

Wicek znowu mocno się śmiać począł i syknął.

— Nie jestem szlachcic—odparł—jako żywo, wypiéram się téj ekstrakcyi, nienawidzę szlachty i panów; chłop jestem, cham, prosty człek, od siekiery wyciosany, z gliny najpowszedniejszéj ulepiony... *plebeius plebeissimus!*

— Żartujesz sobie ze mnie!—szepnął doktor zimno.

— Nie, kochany konsyliarzu—odezwał się zawsze ironicznie ten, który się Wickiem Szarzakiem nazwał—nie, nie żartuję z pana, ale z siebie! Tak! to wielka różnica! Co bo pan chcesz, człek bywa w takiém usposobieniu, gdy nareszcie z siebie samego żarty stroi.

— Trafia się to—odpowiedział Mellini—ale nie w wieku pana.

— A! wiek! wiek!—począł młody—to rzecz stosunkowa. Wpan mnie zrozumiesz; są, co w sześćdziesięciu kilku leciech mają ich rzeczywiście ledwie ośmnaście i gołowąsami umiérają, a są tacy, jak ja, co w dwudziestu kilku już zgrzybieli.

— I sami sobie winni!—zawołał Mellini.

Skrzywił się p. Wicek.

— Czasem oni, a niekiedy ludzie! O! ci ludzie! to bydło!—krzyknął, bijąc w stół młody.

Doktor nań popatrzał.

— A waćpan-że co innego jesteś?—spytał. Łajesz ludzi, maszże być wyjątkiem?

Trochę zdziwiony popatrzał nań Wicek.

— Licha tam! – rzekł, śmiejąc się znowu – taka bestya ze mnie paskudna, jak i oni. Kubek w kubek. Jużem ci się dobrze zarekomendował tém, żeś mnie po burdzie, pokiereszowanego znalazł w rynsztoku: to dosyć!

Ja się téż za anioła nie sprzedaję, ale i reszta nie wiele warta. Ta między nami różnica, szanowny konsyliarzu, że oni sobie archanielskie skrzydła przypinają do zasmolonego grzbietu, a ja się okazuję jakim mnie Panu Bogu stworzyć się podobało, na utrapienie ludzkie!

Mellini uśmiechał się mimowoli, a poczekawszy nieco odezwał:

— Wszystko to bardzo ciekawe i interesujące, a najosobliwsze to, że waćpan syn leśniczego z Końskiéj Woli, tak się jakoś wyrażasz, jakbyś za piecem u tatka się nie wychował.

Zaczął prychać słuchając młodzieniec i probował pokaleczoną ręką wąsa kręcić.

— Mój konsyliarzu—rzekł—bo to widzisz, leśniczy leśniczemu nie równy. Mój czcigodny papa zamożny człek, dawał mnie na nauki po świecie! Miałem metrów, posyłał mnie do Paryża, gdziem bruki zbijał z paniczami co się zowie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Nie dowiem się więc z kim mam honor?—rzekł Mellini.

— Ale jaki u kaduka honor?—przerwał niecierpliwie chory—honoru około mnie ani za grosz. Był kiedyś, teraz go niéma. Co było a nie jest, nie pisze się w regestr; jestem plebejusz Wicek Szarzak i kwita.

— I czémże się pan zajmujesz! powołanie jego?—spytał doktor ironicznie także.

— A no, to trudno się da zdefiniować—począł chory z wolna spuściwszy oczy—robi się co się zdarzy. Piję tęgo co się zowie, biję doskonale, łgę gdy trzeba aż strach, kląć umiem i z francuzka politycznie i z polska od ostatnich... Piosnek moc śpiewać umiem, gram na klawicymbale i na gitarze, w karty od chapanki i drużbarta począwszy do faraona, *gerfectissime;* koperczaki stroić do panien i do mężatek potrafię niezgorzéj, i żwawo prowadzę romanse, choćby dwa i trzy naraz. Cóż waćpan chcesz, albo to mało talentów! trzebaż czego wiecéj jeszcze? Z tém się w Warszawie żyje tak jakby się klucz miało i wsi kilka. Nieszczęściem skład okoliczności zmusił mnie, wystaw asiędziéj sobie, opuścić stolicę w chwili gdy się oto sejm zbiera, pole do żniwa... i tu wpadłem między takich co w sześciu na jednego idą!!

Mellini słuchając żartującego sobie młodzieńca nie wiedział już co myśleć. Im więcéj się w niego wpatrywał i przysłuchiwał mu, tém mocniejszego nabierał przekonania że miał do czynienia z jakimś paniczem, *incognito* chcącym zachować, rozwydrzonym, rozpuszczonym jak dziadowski bicz, ale bystrym i niepospolicie obdarzonym.

Milczał jeszcze doktor, gdy p. Wicek zerknąwszy nań, ciągnął daléj.

— Pojmuję to, szanowny konsyliarzu, że, koniec końców chciałbyś może wiedzieć z kim masz do czynienia, boć winien ci będę za trudy i gościnę. W tém sęk... Jużciżeś kazał zrewidować moje kieszenie, gdyście mnie tu na to łóżeczko komportowali i przekonałeś się że

w nich *vaćuum*. Był bestya jedynak, kulfon... ale i o tém nie umiem powiedzieć, czym go w winiarni nie rzucił na stół. W obecnéj mojéj sytuacyi, w istocie, *nemo dat qui non habet*, nie uiszczę się, mój zaś tatko w Końskiéj Woli, gotów się mnie zaprzeć a nic za mnie nie zapłaci... Radzę więc ci konsyliarzu, obandażowawszy mnie, wyrzuć na ulicę! Co wiele ceremonii robić. Lipiec, nie zmarznę... Cha! cha!

Doktor się zasępił i obraził.

Wstał z krzesła.

— Juści to prawda—odparł z dumą pewną—że ksiądz z ołtarza, pisarz z kałamarza, a doktor żyje z tego co mu się nadarza, z *purgansu* i mikstury; ale widzisz asindziéj, są doktorowie i doktorowie. Ja lubię czasem trutniów z ulicy zbierać i robić na nich doświadczenia, *in anima vili.*

Usłyszawszy to młodzieniec, drgnął cały, na policzkach błysnął rumieniec, lecz się wnet pohamował.

— Oddałeś mi asindziéj z nawiązką! Nie gniewam się.

— Ja téż!—rozśmiał się doktor—widzę tylko że my z sobą ładu nie dojdziemy.

— Właśnie że my, jak ja teraz widzę—rzekł młody—my możemy z sobą dojść do kompromisu. Kiedy ja mogę wyjść ztąd bezpiecznie, żeby na ulicy się nie wywrócić?

— Cóż pilno waćpanu?—spytał doktor. Dziś się to oznaczyć nie da. Wyliżesz się wprędce, ja zatrzymywać nie będę, ale wyprawiać nie chcę, bo na to mnie jeszcze stało żebym gościnę mógł dać.

— Waćpan widzę jesteś filantrop? hę?—spytał młody.

— Czasami—rzekł Mellini.

— Ale dalipan, jeżeli się spodziewasz że w mojéj skórze znajdzie się zaklęty królewicz, to się omylisz—dodał Wicek. To prawda, żem się z paniczami chował, że paniczkowato wyglądam; ale jestem bez grosza, dachu, domu i łomu a co gorzéj bez familii. Swoi się mnie a ja ich wyparłem... jestem Wicek Szarzak! Cha! cha!

I pokładając się na łóżku począł się śmiać dziwnie, powtarzając ciągle—Wicek Szarzak!! Doktor stał przypatrując mu się, gdy z łóżka porwał się nagle ranny i siadł.

— Konsyliarzu złoty!—rzekł głos zmieniając na żebrzący—gdybyś był istotnie gościnnym w domu, wiesz cobyś uczynił? Otobyś mi dał lampeczkę wytrawnego wina!

— A! tak! zapewne! aby ci na noc dała gorączkę i rany pojątrzyła! tęgi z waści doktor...

— Medycyny się nie uczyłem, oprócz w Paryżu gdym był na jednéj sztuce, gdzie kilkunastu doktorów występuje z bronią w ręku! Sztuka piękna i budująca, ale, szanowny konsyliarzu, mam moję naturalną medycynę i rezonuję tak: natura do zagojenia ran potrzebuje sił, co siłę daje? wino; *ergo*... rozumiesz...

Rozśmiał się Mellini.

— Ja—rzekł—rezonuję całkiem inaczéj. Opatrzna natura gdy kto ma krew zbyt gorącą i obfitą, nasyła na niego sześciu palestrantów aby mu jéj upuścili, i każe go osłabić, aby rozum miał czas wziąć górę nad szałem... Wina asindziéj u mnie nie dostaniesz, ale kleiku, rosołu, bułki, ile trzeba...

Kłaniam uniżenie!

I wyszedł śmiejąc się.

III.

Leczenie ran szło swoim porządkiem, choć niemożna było powiedzieć, ażeby ten gość w domu dogodnym był domownikom.

Nie skarżyła się na niego panna Pepita, ale szemrała Gawłowska i doktor pilnował tego, ażeby panna się nie pokazywała; więc ją trzymano jak niewolnicę, co w zły humor żywe dziewczę wprawiało.

Chory zaś w miarę jak do sił przychodził, coraz się w swojéj izdebce niespokojniéj znajdował. Po całych dniach śpiewał, hałasował, chodził, nie mógł usiedzieć w miejscu, rzucał się jak zwierz dziki w klatce. Słychać go było w całym dworku, nawet w pokoju dość oddalonym Gawłowskiéj, w którym Pepita z krosienkami rezydowała.

Była ona bardzo muzykalną, doktor téż lubił muzykę pasyami, staruszek Schafner kapelmajster dymisyonowany przez księcia Ogińskiego, osiedlił się był właśnie w Lublinie. Mellini go uprosił żeby dawał lekcye śpiewu siostrzenicy; a że Pepita miała prześliczny sopran, a Schafner był zapalonym wielbicielem wokalnéj muzyki, podjął się tego z wielką satysfakcyą. Parę razy na tydzień przychodził zwykle do dworku i na klawicymbale stojącym w saloniku doktora, towarzyszył do śpiewu pięknéj pannie.

Właśnie egzercytowała się w aryi z *Didone abandonnata*, bardzo natenczas w modzie będącéj.

Jednego z tych dni Niemiec się zjawił. Był to staruszek w peruce, z laską, na cienkich nóżkach, zaschły, kościany dziadek. Chciano go się pozbyć tém, że w domu był chory, ale że właśnie wchodząc słyszał go wyśpiewującego na całe gardło Schafner, choć pięknym głosem, ale jak on znajdował, fałszywie i bez metody, uparł się, aby lekcyą odbyć koniecznie. Pozamykano drzwi; zdawało się, że głos Dydony nie dojdzie do chorego, Schafner siadł do klawicymbału.

Tymczasem w śpiewie p. Wicka przypadł właśnie interwal wypoczynku, i—chory, który się był na łóżku położył, usłyszał śliczny sopran strumieniem płynący srebrzystym wśród ciszy. Zerwał się na równe nogi zdumiony, podbiegł do drzwi... otworzył je, w sieniach już aryi słuchać było można doskonale. Naprzeciw z niéj drzwi prowadziły do antykamery małéj, a z niéj do bawialni, w któréj stał klawicymbał. Siedział stary Schafner i przy nim stała w sukni białéj, z rozpuszczonemi czarnemi włosami, przepiękna Pepita... Wicek nie wytrzymał. Głos był prześliczny, ciekawość go wzięła niezmierna zobaczyć tę która go wydawała. Zuchwały chłop, ośmielił się, jak stał, prawie nie ubrany, wtargnąć do przedpokoju pocichu, przysunąć do drzwi, przyklęknąć do dziurki od klucza i, spojrzeć.

Zrządzenia losu dziwne czasem bywają. Przez dziurkę od klucza normalną, jakie się zwykle we drzwiach spotyka, niewieleby może zobaczył ciekawy łotr, co się tu podkradł. Trzeba było wypadku że od tego zamku niegdyś klucz zgubiono, że go gwałtem odrywając popsuto, nie naprawiono i że dziurka od klucza była szkaradną dziurą, w któréj całe czarne oko młodzieńca umieścić się mogło.

Ujrzał więc przez nie na ciemném tle ściany obitéj zielonym szpalerem, obraz, który chyba w snach rozgorączkowanéj wyobraźni mógł równie uroczo zabłysnąć.

Stała za krzesłem starego Schafnera, z wielką gracyą, suchemi rączkami przebierającego po brzęczącym jak komar klawicymbaliku — no—bogini jakaś? Taką mu się wydała! Z trochę podniesioną główką, z trochę otwartemi różowemi ustami, w których perłowe ząbki świeciły, Pepita śpiewała z wyrazem smutku rozdzierającym, który od słów i muzyki przeszedł na jéj oblicze... Miał ją przed sobą całą, śliczną jéj kibić, cudowną rączkę spartą na krzesła poręczy, główkę podrzuconą do góry, ramiona białe lekkim okryte muślinem...

Co się z nim tam stało gdy ją ujrzał, nie umiemy wytłómaczyć. Długo oka oderwać nie mógł od tego widoku, twarz mu zapałała, wreszcie zerwał się jak złodziéj uciekać, usłyszawszy szelest, i stuknął w przedpokoju drzwiami za sobą.

Poszedł się zamknąć do swéj izdebki.

Stuknięcie drzwiami nastraszyło śpiewającą, która zerwała się i wybiegła zobaczyć czy się kto nie wkradł do domu. Ale już chory był u siebie. Nie wiem czy się jego niedyskrecyi i zbrodniczego podsłuchiwania domyśliła, ale lekcya śpiewu została przerwana. Schaf-

ner tylko zagrał Haydna waryacye na fortepianie, pomówił z piękną uczennicą i, panna Pepita wróciła do pokoju Gawłowskiéj.

Gdy wieczorem doktor przyszedł do domu i zajrzał do chorego, znalazł go w jakiémś usposobieniu szczególném.

— A wiesz, konsyliarzu—rzekł—że tu u ciebie być na kuracyi, rzecz jest wcale przyjemna. Nie wiedziałem o tém że tu koncerta bywają. Co za głosik!

Doktor się strasznie zmarszczył; gdy się Pepity co tyczyło, żartować nie dawał.

— Cóżeś to waćpan podsłuchiwał!—zapytał ponurym głosem—to nie pięknie! Jesteś tu dla kuracyi nie dla koncertu!

— Tak, ale Pismo Święte powiedziało: „Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.” Jakże konsyliarz chcesz żebym ja rozkazom Pisma Świętego się sprzeciwił?—odparł chory—koncert był *gratis!*

— I wcale na ten raz niepotrzebny!—zamruczał Mellini niecierpliwie.

— Nie wolno mi spytać o *divę!* Kto jest ta utalentowana *cantatrice?*

— Waćpan umiesz po włosku?—odparł doktor.

— Hę?—odparł chory ruszając ramionami—kto to wié? może.

— Bo powiedziałbym waćpanu: *Chi tutto vuole, niente ha!* (kto wszystkiego chce, niéma nic).

Kiwnął głową słuchający.

— Żebym umiał po włosku—rzekł zwolna—tobym waćpanu odpowiedział: *A colui che vuole, nulla è difficile,* (kto czego chce, temu nic trudnego niéma).

Usłyszawszy odpowiedź, doktor się zmieszał mocno.

— A to co?—zapytał.

— Tak sobie, probowałem—rzekł chory—czy mi się jaka włoszczyzna téż nie uda! Doktor mi dałeś do zrozumienia, żebym się nie dopytywał, a ja... musiałem coś bez sensu spleść.

Mellini, który się poczynał gniewać, włoszczyzną trochę został rozbrojony, jednakże wróciła mu troska o Pepitę.

— Jakże się waćpan czujesz?—zapytał.

— Chciałbyś się mnie pozbyć?—rzekł chory—ale ja gotów jestem każdéj godziny, kochany konsyliarzu. Skiń tylko... Widzę, że jako Włoch jesteś zazdrosny, choć nie suponuję, ażeby ta istota tak młodziusieńka była twoją żoną.

— A gdzieżeś ją waćpan już widział!—krzyknął doktor z gniewem—gdzie! jak!

Chory spostrzegłszy gniewającego się, zaczął się śmiać po swojemu.

—Mityguj się, na miłość Bożą! Nie widziałem jéj tylko przez dziurkę od klucza z przedpokoju!—odezwał się.—Do téj zbrodni się przyznaję: słysząc głos nie mogłem wytrzymać. Piękna jak anioł, lecz, słuchaj doktorze!—dodał—ja w anioły nie wierzę, bom się nadto dobrze znał z dyabłami.

Bądź spokojny!

Ironicznie i gorzko chichotać zaczął.

— No, kiedy mam iść precz?—rzekł po chwili.

Mellini się zawstydził.

— Waćpan jesteś osobliwszy człowiek—rzekł.

— Ja o tém wiém!—odparł Wicek.—Byłem może stworzony na wcale nie kiepskiego człeka, robacy nadgryźli i zrobiła się osobliwsza gniłka... *Ogni rosa ha la sua spina*, a ja różą nie byłem nigdy.... *spina* się została z gałęzi...

Włoszczyzna znowu rzucona od niechcenia, zrobiła wrażenie na doktorze.

— Ale któż bo waćpan jesteś?—zawołał gwałtownie—mów! Jużciż ja nie zdradzę.

— A ja się bo żadnéj nie obawiam zdrady—rzekł chory—widzisz kto jestem, kawał łotra, z którego miał być poczciwy człowiek...

— No, i może być!—przerwał Mellini—i może, i będzie!

— Ani może ani będzie!—gwałtownie i z wielką goryczą, pierwszy raz poważniéj a seryo począł chory—nie, to, na com się patrzał, com przeżył psuje człowieka do gruntu. (Uderzył obu rękami po stole). Dosyć tego...

To mówiąc rzucił się na łóżko, zwrócił twarzą ku ścianie, i pozostał tak nieruchomym. Doktor już miał odchodzić, gdy usłyszał:

— A lampeczki wina? hę! nie można?

Mellini ramionami ruszył, i za całą odpowiedź głową potrząsł.

— Ty bo, szanowny konsyliarzu—odezwał się leżący—wyobrażasz sobie że spełniasz obowiązek jakiś filantropa, oddając mi zdrowie i siły! a ja ci powiadam że oddałbyś posługę, za którąby ci podziękowano może, gdybyś mi dał w przyjemném usposobieniu pójść ztąd prosto na łono Abrahamowe. Wyleczysz mnie i pójdę ludziom psie, krwawe figle płatać!!

— A to już do mnie nienależy—rzekł doktor.

— Bodajżeś skisł, stary nudziarzu!—dokończył mrucząc Wicek i do ściany się odwrócił.

Mellini poruszony jeszcze tą rozmową, poszedł wprost do Gawłowskiéj i Pepity.

— Potrzeba ci było dziś śpiewać—odezwał się z progu—gdy w domu mamy chorego. Skarżył mi się że mu tym piskiem sen przerwano. Przestraszył się...

Pepita załamała ręce.

— Cóżem ja winna! Stary Schafner nalegał, kazał, pozamykaliśmy drzwi wszystkie!

— Tak! tak, ależ pamiętać trzeba że to chałupa jak z kart: dosyć kaszlnąć żeby aż na strychu rozległo...

— Ale mu się nic nie stało?—spytała Pepita zmieszana.

Doktor głową pokiwał.

— Dostanie trochę gorączki—rzekł dwuznacznie—ale spodziewam się że mu to przejdzie; w tych dniach téż myślę się go pozbyć, bo mi ta załoga, przyznam się, jest wielkim ciężarem. I dla waćpanny téż z tego niewygoda.

— A! dla mnie!—poczęła prędko Pepita—dla mnie? Ależ mnie, tu, z Gawłowską doskonale... Ja mogę zostać dopóki tylko potrzeba. Proszę wcale nie myśleć o mnie.

— Choćbym i nie myślał o tobie—dodał doktor pocichu—tego człowieka z domu chcę co rychléj się zbyć. Jest ostateczny łotr jakiś, najniebezpieczniejszego gatunku, bez czci i wiary.

— Możeż to być!—naiwnie podchwyciła Pepita zbliżając się do wuja. Któżby się mógł spodziewać! Z twarzy...

— Tak! tak! wy wszystko sądzicie z twarzy!—przerwał Mellini—chłopiec niczego, ale najpaskudniejszego charakteru i z tém się wcale nie tai!

Rzuciwszy to słowo doktor, niechcąc się wdawać w dalszą rozmowę, odszedł. Pepita została jak wkuta do posadzki, nie uważając nawet że Gawłowska na nią z przestrachem i niepokojem patrzała.

Po chwili dopiéro przyszła siąść obok niéj i w milczeniu wzięła robotę do ręki, bezmyślnie ją obracając.

— Ktoby się tego mógł z twarzy jego domyśleć!—poczęła pocichu.—Proszę cię, moja Gawłosiu! Gdybyś ty go była widziała jak

ja, tam, na ziemi leżącego we krwi, z tą głową taką śliczną! Mnie to póki życia nie wyjdzie z pamięci!

— E! co znowu!—ofuknęła Gawłosia—boś się panna nastraszyła! U stracha wielkie oczy, imaginacya jakaś! wydał się czémś osobliwém, a to szałaput, wisus i po wszystkiém. Panna myśli że go ludzie nie znają!

— A któż on jest? zmiłuj się — podchwyciła Pepita ciekawie, —wuj powiada że się od niego nic nie można dowiedzićć.

— Kto ma być? Tać to już u Seliga i naokół wiedzą o nim i gadają. Na mieście on już burszował tu dawno i awantury wyrabiał, a tylko z jednéj winiarni do drugiéj i z jednéj burdy w drugą. Na końcu przyszła kryska na Matyska; ale to nic dobrego: nie żal go!

Gdzieś, widać, na jakimś to dworze służyć musiało, liznął potroszę tego i owego, przetarł się i rozłajdaczył: gdzieś się téż w rynsztoku zmarnuje!

Pepita wysłuchała cierpliwie i westchnęła. Z twarzy jéj widać było, że choć się nie chciała sprzeczać z Gawłowską, może sobie co innego myślała.

Nazajutrz, doktor wychodząc z domu, najuroczyściéj zakazał siostrzenicy, aby do sieni od ulicy wychodzić się nie ważyła i drzwi od bawialnego pokoju zamknęła na klucz aż do jego powrotu.

Rany pana Wicka już się były tak dobrze podgoiły, że właściwie jedna tylko głębsza na głowie pozostała do zabliźnienia. Nosił jeszcze bandaż, i choć ten go nie zdobił, ale pięknemu i z tą przewiązką nadto szpetnie nie było. Po wyjściu doktora, zobaczywszy przez okno, iż się ku miastu posunął, chory szybko się począł ubierać.

Nie łatwe to było zadanie, gdyż suknie w których go przyniesiono i krwią pobroczone i ziemią powalane i pomięte były i pocięte. Wicek wziął się do nich i opatrzywszy w jakim były stanie, zrazu je cisnął z gniewem od siebie. Po chwili jednak zrezygnował się wrócić do nich i nie dbając o rozcięte plecy i rękawy, począł je wycierać, wyciągać, oczyszczać. Po dosyć długiém mordowaniu się nad niemi, doszedł do tego że mógł je na siebie nawlec, nie wiele się troszcząc jak w nich będzie wyglądał. Gdy to robił, usta mu drgały i krzywiły się szydersko...

W izdebce Pepity, w któréj mieszkał było spore zwierciadełko; przejrzał się w niém, uśmiechnął do siebie i czuprynę zatarł.

Szklankę próżną wziął w rękę i zwolna drzwi pokoju uchylił. Wyszedł do sieni. Sień przedłużona wiodła ku drzwiom w głębi do pokoju Gawłowskiéj. Jakim instynktem tam trafił, na to chyba młodość jasnowidząca odpowiedziéćby mogła. Pomalutku powlókł się przez sień jaknajciszéj i... do drzwi zapukał.

Gawłowska, która drzémała nad robotą, zerwała się wystraszona, Pepita od krosien głowę podniosła i... musiała coś przeczuć, bo się zarumieniła jak wiśnia, poprawiając włosy.

Nie czekając żadnéj odpowiedzi śmiały pan Wicek, wtargnął do pokoju szklankę trzymając w ręku.

— Za pozwoleniem—odezwał się tonem, mimo grzeczności śmiałym i jakby drwiącym—czy niemógłbym dostać kropli wody? U mnie jéj niéma, nie wiem gdzie szukać! I...

Wtém, ujrzawszy niby teraz dopiéro Pepitę, która nie spuszczała go z oczów, odezwał się wesoło i trochę szydersko:

— O śliczna bogini! a to ja wczoraj anielski głos jéj, kradzionym sposobem usłyszałem! Dostałem za to burę od doktora! Niechby mnie już i kijem wybił, nie mogłem wytrzymać, abym waćpanny zblizka nie zobaczył.

Gawłowska przerażona, widząc go śmiało idącego ku krosienkom, zaparła mu drogę i chciała odebrać szklankę.

— Daj mi asindźka z wodą pokój—odezwał się—szklanka i woda były tylko pretekstem! Ja się tylko do téj śliczności chciałem zbliżyć!

Pepita tonem zuchwałym nieco obrażona, cofała się za krośna. Gawłowska rozpostarła ręce.

— Ale cóż to znowu jest!—krzyknęła—jak pan możesz tak napadać kobiéty! Cóż to się ma znaczyć? Proszę pana! Niech mi się pan zaraz wynosi.

— Ale, czekaj asindźka—rozśmiał się chory—wyniosę się tylko dopowiem z czém przyszedłem...

Zwrócił się ku Pepicie.

— Kern felczer mi dopiero wczoraj powiedział, że ja pannie téj takiéj ślicznéj jak anioł, winienem życie; że gdyby ona mnie nie znalazła leżącego i na ratunek nie zawołała, byłbym już dziś albo śpiewał z aniołami, o czém wątpię, albo się w smole smażył. Moje ty bóstwo śliczne—dodał ręce składając—niechże ja ci... jakby to powiedziéć... dziękować niéma za co! niech ci się pokłonię.

To mówiąc potrącił Gawłowską; widząc go zbliżającego się, wylękła Pepita schowała się w okno i osłoniła firanką. Wszystko to nic nie pomogło, ów pan Wicek wywróciwszy kilka krzeseł, odsunąwszy krosienka, z zuchwalstwem niepraktykowaném zbiżył się do okna, i choć Pepita krzyknęła, a Gawłowska go silnie za poły w tył zaczęła odciągać, pochwycił wpół broniące się dziewczę, podniósł jak piórko, i w czoło pocałował.

Widząc to ochmistrzyni wrzasnęła tak, że i na ulicy było słychać.

Napastnik postawił na ziemi napół omdlałe dziewczę i zwrócił się do ochmistrzyni.

— A czegoż się drzesz?—zawołał—już się stało! więcéj tego nie będzie... Żebym miał ztąd pójść na sucho, to nie mogło być!

Pepita, niewiadomo co się jéj stało, pochyliła się ku oknu, zsunęła na ziemię, zemdlała zupełnie. Gawłowska biegła ku niéj zrozpaczona, gdy pan Wicek zawróciwszy się jak pijany wysunął się nazad z pokoju.

W progu krzykiem zwabiony stał cały fraucymer dworku, który widząc uchodzącego napastnika, dopiero zrozumiał co się stało...

Trzeźwiono biédną Pepitę.

Gawłowska we łzach powtarzała ciągle:

— O Chryste Panie! jak się doktor dowié, to on tu nas wszystkich, począwszy od niego, pozabija!

IV.

W kilka dni potém przez Grodzką ulicę, widziéć było można idącego, tego samego Wicka Szarzaka. Miał na sobie ten sam kontusz posiekany, który mu jakiś krawczyna, jak umiał pozszywał. Rany na plecach i piersiach już mu się pogoiły, ale na kontuszu trudniéj je przyszło zabliźnić. Czapka na bakier włożona pokrywała czarną chustynkę, którą głowę jeszcze miał przewiązaną. Nie zbywało mu wcale na fantazyi pomimo zszarzanéj odzieży, podartego obuwia i niezupełnie pogojonych ran. Trzymał się jedną ręką w bok, a drugą za szablę. Na téj widać było zaraz, że gdzieś za mały grosz na tandecie musiała być kupioną. Lichota to była, rapcie wytarte tak, że z nich barwa zlazła; pochwa odrapana, skówki posrebrzane z których mosiądz żółto przeświecał, a i klinga nie musiała osobliwą być. Rączka téż jakąś ptasią głową zakończona, mizernie wyglądała.

Pomimo oszarpania i zaniedbanéj odzieży, chłopak pańsko szedł i ze straszliwą butą. Ustępowano mu z drogi, bo widać było że on nikomu z niéj nie zejdzie. Kroczył sobie tak jak to się idzie spacerem dla rekreacyi, bez celu, nie śpiesząc, nie dbając dokąd, nie patrząc przed siebie. Oczy miał spuszczone na ziemię, dumał. Posuwał się od niechcenia, od Krakowskiéj widać bramy do Grodzkiéj, jakby na Żydy chciał iść. Kiedy niekiedy rzucił przed się okiem lub ziewnął.

Słońce przypiekało, godzina była ranna, ale już południe blizko.

Gdy on kierował się tak w dół, z Grodzkiéj bramy wysuwał się właśnie pański jakiś dwór podróżny. Jechało przodem dwu jak olbrzymy hajduków w granatowych kurtkach i ponsowych hajdawerach, na koniach rosłych; daléj trzech konnych dworzan w barwie zielonéj z żółtém, za niemi kolasa duża danglowska, nowa, pyszna: za nią widać było furgony i konie luźne. Dla gorąca powóz był poroztwierany i widać w nim było na jedwabnych poduszkach, siedzącego, a bar-

dziéj napół leżącego młodzieńca, który dla wygody ręce w pasy jedwabne powozu powkładał. Piękny ten mężczyzna, brunet, ubrany po francuzku, twarz miał, mimo znudzenia podróżą, pełną ognia i życia...

Czarne jego oczy bystro w prawo i lewo strzelały. Nagle, gdy je przypadkowo skierował na idącego naprzeciw Wicka, porwał się w powozie siedzący, i jakby oczom nie wierzył, z niezmierną uwagą przypatrywać mu się począł. Konie szły zwolna po lichym bruku pod górę.

— Co u licha! *Quel diable!*—zagrzmiał głos z powozu—Stój!

Służący idący przy kolasie, a za nim kilka głosów powtórzyło: „Stój!” — i kolasa się zatrzymywała, gdy siedzący w niéj młodzieniec wyskoczył, wprost idąc ku p. Szarzakowi.

Szedł i przyglądał mu się jeszcze.

Wicek, który to wszystko dostrzedz musiał, nie dawał znać po sobie wcale, jakby ten cały zachód brał do siebie.

Szedł bardzo spokojnie daléj swoją drogą.

Wtém naprzeciw, drogę mu tamując, stanął młodzieniec, który z kolasy wysiadł, i zawołał, o krok już będąc od niego:

— Wojewodzic! oczy mnie nie mylą? Ale to on! Cóż to jest?

Wicek zwolna podniósł głowę, popatrzał, i odezwał się głosem obojętnym:

— Nie mam honoru!...

— Na Boga! ale cóż to ma znaczyć? nie jesteśmy w karnawale, wojewodzicu kochany.

— Żadnego tu wojewodzica niéma! — zawołał stanowczo i nieco poruszonym głosem idący—nie znam, nie wiem. Proszę mnie puszczać... Każdy w swą drogę!

— *Mais tonnere de Dieu!* — nieustępując, krzyknął gorąco pan z kolasy.—Powiedzcie mi co to znaczy? Ja cię tak nie puszczę!

Wicek na rękojeści szabli położył rękę, jakby znać dając, że się bronić myśli.

Rozśmiał się przeciwnik.

— Mów, co ci się stało? Dwu nas przecie takich niéma na świecie.

— Za kogo mnie waćpan bierzesz?—spytał flegmatycznie znowu Wicek.

— Wojewodzic.... jesteś! Cóż u licha! Kolegowaliśmy z sobą w Strasburgu! Graj ty komedyą z kim chcesz, ale nie zemną!

To mówiąc, broniącego się chwycił za rękę, a widząc, że się w ulicy ludzie ciekawie skupiać zaczęli, gwałtem go wciągnął do najbliższéj kamienicy, u któréj drzwi ogromne grono winne, niegdy złocone, dziś zczerniałe, wisiało, a nad niém staroświecka wiecha.

Skinął pan na powóz aby sobie szedł daléj, a sam ciągnąc pochwyconego w ulicy, rozpatrzywszy się w ciasnym korytarzyku, do którego weszli, wprowadził do sklepionéj izby na dole.

Stała ona pustkami w téj dnia godzinie. Niezatrzymując się w niéj, poszli do mniejszéj izdebki o jedném oknie. Tuż za nimi przywlókł się otyły mężczyzna.

Pan z kolasy rzucił mu zdala:

— Butelkę na dukata! Słyszysz, żeby mi dobra była, bo mam zwyczaj w łeb lurą ciskać!

Tu dopiero puścił Wicka jego przewodnik, i zawołał, drzwi zamykając z łoskotem.

— Ale gadajże u licha co się z tobą stało? gadaj!

Wicek padł był na ławę; widać w nim było wzburzenie wielkie... milczał.

Brunet z czarnémi oczyma stał naprzeciw i zżymał się.

— Mów-że!

— Niéma co mówić!—odparł głosem słabym Wicek.—Wina! hej! kiedy wina, to wina!

Brunet we drzwi uderzył.

— Dawaj wino!

Zjawił się gospodarz z jedną butelką w ręku, drugą pod pachą, trzecią wystającą z kieszeni.

— Niech jaśnie oświecony książę wybiera...

Chłopak lampki stawił i złoty płyn się w nie przelewał. Książę go wąchał i ostrożnie próbował, cmokając, gdy Wicek już lampkę wypił i nastawił, by mu ją powtórnie nalano. Trzy tak z rzędu wlawszy w siebie pośpiesznie, dopiero tchnął.

Gospodarz był już za zamkniętémi drzwiami.

— Na stare koleżeństwo nasze zaklinam cię, mów-że! — krzyknął książę.

Wicek się strząsł cały.

— Powinienbyś się domyślić—rzekł. — Ojciec się mnie wyparł, ja jego; niéma wojewodzica, niéma ojca, niéma familii; nazywam się Wicek Szarzak i szukam po świecie awantur, aby mi kto oddał tę

przysługę i na tamten świat wyprawił, bo na tym waszym, psim, obrzydliwym świecie, robić niémam co...

— Ale jakże do tego przyszło?—spytał książę.

Wickowi uśmiech ironiczny usta wykrzywił, nalał sobie wina i śmiać się począł.

— I to ty, Kaziu, pytasz się o to? ty! ty! Albož nie wiész z czego wszystkie nieszczęścia płyną?

— Nic nie rozumiem — rzekł zasiadając ks. Kazimierz — mów, zagadek nie odgaduję.

— A wiesz z kim się mój ojciec ożenił?—spytał Wicek.

— Nie wiem, przyznam ci się nawet, czy się ożenił?

— A wiész w kim ja się kochałem śmiertelnie, na zabój!?

— No, w Dosi.

— Dosia jest moją macochą! — przerwał gwałtownie Wicek.— Wolała starego wojewodę niż mnie, poszła dobrowolnie! A żem ja dla niéj dziś niewygodny, bo zdrajcą i łotrem być nie mogę, postarała się, aby mnie z domu wytrącono i wydziedziczono. Stary jest ślepy i głuchy, ona go za nos wodzi; wmówiła mu co chciała! Szatan ten w anielskiém ciele!....

Gdy to mówił, książę, który był usiadł naprzeciw niego wygodnie, wpatrując się w rozgorączkowanego, cmoktał przyniesione wino powoli, jakby je chciał wyprobować. Znać w nim było wielkiego pana, lekko nawykłego brać wszystko. Ciekawość wprawdzie wyciągnęła go z powozu na widok tak strasznie podupadłego dawnego kolegi, ale zarazem, choć się żywo do niego czepiał i zajął napozór mocno, nie widać w nim było poruszenia serdecznego. Bawił się tém tylko.

— Co ty mi prawisz!--przerwał—ależ to koniec świata! Twój stary żonaty, Dosia, ten śliczny szatanek, do któréj ty i ja i tylu innych cholewki smaliło, panią wojewodziną, a w ostatku, ty, *desdictado* wydziedziczony tragicznie, w połatanéj kontusinie! Ależ to tragedye! tragedye!

— Tragi-komedye czy komedyo-tragedye, co chcesz!—odparł Wicek, który lampka po lampce wychylał i za każdą razą stawił na stole szkło z takim impetem, jakby je chciał rozbić.

— Ale bo, słuchaj, wojewodzicu mojéj duszy—odezwał, śmiejąc się książę—przyznaj się, tyś się musiał do macochy umizgać!

I począł się śmiać do rozpuku.

Wicek się zerwał z ławy.

— Ja!—krzyknął—ja! Za kogóż ty mnie masz! Jest jedna rzecz, którą szanuję, to rodzinę i ojca, którego kocham. Z tém u mnie żartów niéma! Ta żmija chciała właśnie mnie miéć za gacha, wiedząc że szalałem za nią. Wzdrygnąłem się na jéj podłość! Lękała się, abym jéj nie oskarżył; wiedziała, że będę pilnował i nikogo z jéj serdecznych przyjaciół nie dopuszczę, bo honoru ojca i domu strzedz było powinnością, dlatego pozbyć się mnie musiała!

Te słowa wymówiwszy seryo, natychmiast do gorzkiéj swéj ironii wrócił Wicek, nalał lampkę, wypił i śmiać się począł zimno, strasznie. Książę nań patrzał zupełnie tak, jakby w teatrze przyglądał się aktorowi.

— Ta kobiéta dopiéro dała mi poznać życie w całéj jego szkaradzie i ohydzie.... Palże je dyabli! trzeba resztkę puścić z dymem jaknajprędzéj.

— Cóż myślisz?—zapytał książę.

— A na cóż ja mam myśléć?—odezwał się Wicek—właśnie nie chcę myśleć, nie chcę się starać o nic: chcę zginąć, zapić się, zmarnować...

— To łatwo—rzekł książę—ale daruj mi, tylko ludzie słabéj głowy tak kończą.

— A jeśli ja mam słabą głowę?—zapytał, śmiejąc się Wicek.

— Mylę się: głowę masz lepszą niż serce—poprawił się książę—serce jest słabe. Tragicznie wziąłeś, coś powinien był wziąć....

— Jak? po łotrowsku? po psiemu?—zawołał gwałtownie Wicek.—Nie! nie!... Nie mogłem patrzéć na poniżenie, na upodlenie ojcowskie. Nie znasz go ty. To złote serce, ale jak moje, słabe. Dał się uwikłać w sidła temu szatanowi.

Książę, słuchający dość zimno, przerwał:

— Wojewodzicu duszy mojéj, a pamiętasz ty, jak niedawno wielbiłeś Dosię i zwałeś ją aniołem?

Wicek ręką białą potarł czoło.

— Tak—rzekł poważniejąc....—Drżę, gdy wspomnę, że szatan mógł się tak ukrywać w téj kobiécie zepsutéj, bez czci i bez wiary, iż się nigdy niczém nie zdradziła! Komuż wierzyć i gdzie cnoty szukać? Poczém poznać dziewictwo duszy? Pamiętasz jéj skromną postawę, jéj oczy z długiémi rzęsy aksamitnémi, zamykające się na najmniejsze słówko dwuznaczne; purpurę tych rumieńców, co jéj twarz oblewały, obawę najmniejszego śmielszego kroku i słowa? Dziecięciem się mi

wydawała, niemającém nawet przeczucia złego! A pod tą szatą siedziała zdrada, nikczemność, zalotność, fałsz....

Książę się rozśmiał.

— Wszystkie one są takie!—zawołał.—Daj już pokój narzekaniu. Jeżeli która ośmieli się być inną, to ją wnet usłużne przyjaciółki postarają się przerobić na obraz i podobieństwo swoje! My świata nie naprawimy, wojewodzicu mojéj duszy! Cały rozum jest umiéć z tego korzystać i śmiać się.

— I ja myślę się na tę filozofią twoję nawrócić—gorzko szydząc odparł Wicek.

— No, ale cóż myślisz, co myślisz z sobą—nalegał książę.

— Mówiłem ci, chcę się co najrychléj zmarnować—odparł wesoło niby Wicek.—I, wiész, o mało mi się to kilkanaście dni temu nie udało....

To mówiąc, zdjął czapeczkę i pokazał obandażowaną głowę, potém połatany i posieczony kontusz....

— Sześciu łajdaków gryzipiórów palestrantów, tak mnie pięknie oporządziło—mówił daléj.—Prawda, żem sam będąc przeciw nim, niemiłosiernie beształ tę szuję. Napadli na mnie wszyscy razem i jeden w głowę tak chlasnął, żem się na miejscu został.

Książę się namarszczył.

— W sześciu na jednego!—zawołał.

— Wierz mi—odparł Wicek—byłbym to tałałajstwo rozpędził, gdyby mi augustówka wysłużona nie prysnęła. Na bezbronnego wsiedli i....

— Któż cię uratował?—zapytał książę.

— Anioł-dziewczyna!—mówił Wicek.

— Hę! znowu anioł?—wtrącił książę.

— Znowu—rzekł Wicek—ale innego gatunku. O tém potém. Cudownéj piękności Włoszka, siostrzenica pewnego doktora... Ta, mnie konającego, znalazłszy w kałuży, zwołała wuja, zaniesiono mnie na jéj własne łóżeczko i... przyszedłem znowu do życia.

Wyobraź-że sobie, raz ją tylko widziałem przez dziurkę od klucza, potém napadłem przez wdzięczność, w niebytności wuja i opiekuna i pocałowałem. To mnie zgubiło, wydał się całus kradziony i wygnano mnie z raju.

Dziewczę.... ach! powiadam ci książę!...

— Cóż? piękniejsza od Dosi?—zapytał książę szydersko.

— Przynajmniéj tak piękna jak ona, ale nie komedyantka: dziecko natury....

Książę prychnął głośno, począł się śmiać, zakrztusił winem, które pił i za boki się wziąwszy latał po pokoju.

Wicek śmiał się także, patrząc na niego.

— Kochany mój wojewodzicu—odezwał się wreszcie całując go w twarz książę—natura jest wielką mistrzynią, jeżeli sztuka nie stanie na zawadzie, zobaczysz co ona zrobi z wychowanicy! Cóż? Kochasz się już?

— Ja?—rozśmiał się Wicek.—Ja? To mi się podoba! Drugi raz w życiu już tego głupstwa nie zrobię; ale, że mi się szalenie podobała, i że.... zbałamuciłbym ją z najwyższą satysfakcyą! Nie przeczę. Mam obowiązek mścić się na całym rodzaju niewieścim! i będę się mścił!

— Niech cię ucałuję!—rzekł książę: wtém spojrzał na zegarek.

— Nie moglibyśmy mówić seryo!—zapytał.

— A, po licha!—mruknął Wicek....

— Boć przecie starego kolegę spotkawszy w łatanym kontuszu —ciągnął książę—w takim stanie ducha i głowy, czuję się w obowiązku cóś radzić. Mów co myślisz?

— Mówiłem ci już—odezwał się na ławie rozwalając i nogi kładąc na stole Wicek.

— Mówiłeś mi, rekapitulujmy—przerwał książę dosyć zimno— że chcesz się zmarnować; że masz projekt mścić się na całym rodzaju niewieścim, że jakąś dziewczynę chcesz bałamucić. Prawda? Widzę cię w podartym kontuszu, zasmolonego, obszarpanego... i pewnie bez grosza....

— Ani dydka nie mam!—zawołał Wicek—ale w dwu garkuchniach kredyt: u Krzaczkowéj, do któréj się umizgam i tém jéj płacę i u Trzewkowskiego, który mnie podejrzywa, że kiedyś mogę przyjść do fortuny.

— Ale pocóż masz siedzieć w téj dziurze?—zakrzyczał książę— Lublin bez trybunału, to jak kościołek na parafii bez odpustu. Zemrzesz z nudów i palestranci cię jak wszy zjedzą.

Ja cię oporządzę i zabiorę do Warszawy na sejm! Tam...

— A ojciec i Dosia macocha, którzy tam są?—mruknął Wicek.

— Nie potrzebujesz spotykać się z nimi.

— A moja Włoszka, którą przez wdzięczność muszę przecie zbałamucić—roześmiał się Wicek—ta jedna warta, żeby dla niéj rok rekolekcyi odprawiać w Lublinie pustym. A! co za dziewczę! a, co za oczy! a, co za płeć, co za rączki! co za postawa! a nadewszystko co za spójrzenie, co za majestat!

Książę się śmiał i Wicek w końcu począł mu wtorować.

— Jakże się ona zowie?—zapytał.

— Nie powiém! daj mi pokój!—ofuknął Wicek.—Prawda, żeś żonaty?

— Rozwodzę się—poprawił książę.

— Już? aleś się niedawno żenił?

— A tak, niestety! przy huku dział i okrzykach! — mówił szydersko książę.—Ale, słuchaj, to nie ja się ożeniłem: matka mnie gwałtem z tą wdową zaswatała, dla jéj fortuny. Wystaw-że sobie, ty, co mnie znasz, ja, co żadnego jarzma nie znoszę, dostałem się kapryśnicy, która mi na głowie kołki ciosać chciała... Starsza odemnie.... I.... —machnął ręką niecierpliwie.—Nie mogę wytrwać, niech ją i miasteczko i wsie bierze kto chce... Wysmarowana, wybielona, wdzięcząca się do wszystkich; pełno koło niéj starych przyjaciół, a mnie raz na rozmowie zastała w gabinecie z kasztelanową i zrobiła mi formalną awanturę.

— A pocóżeś w kilka miesięcy po ślubie rozmawiał *semotis arbitris* z tą kasztelanową?—zawołał Wicek.—Więc rozwód?

— Stanowczo!—potwierdził książę i wino wypił duszkiem.

Popatrzyli na siebie uśmiechając się.

— Ale bo mi cię żal!— odezwał się ks. Kazimierz.

— Ba! żebyś wiedział jak mnie siebie żal; cóż, kiedy rady na to niéma!—westchnął Wicek.

— Owszem, jest. Jedź zemną do Warszawy.... nie przerywaj mi; zabieram cię, śmiejemy się całą drogę... W Warszawie znajdę łotra lichwiarza co ci pieniędzy pożyczy, bo wiész, że ja ich nigdy nie mam. Matka i ja wiecznie jesteśmy goli, mimo ogromnych dóbr. Wojewodzicowa powiada, że ja tracę; mnie się zdaje, że ona z Mierzejewskim źle się rządzi. Ale mijam to.

Lichwiarz ci da pieniędzy. Sejm nadchodzi, bawimy się jak sto dyabłów!

— Hm, a z czegóż lichwiarzowi oddam?—spytał Wicek.

— Któż oddaje!?—zawołał książę z zapałem.—Gdyby potrzeba było oddawać, proszęż cię, czy wartoby było pożyczać?

— Masz racyą!

— Lichwiarze odzierają wszystkich, należy im się odwet.

— Słusznie. Projektby mi się uśmiechał—odezwał się Wicek — dwie tylko rzeczy stoją na przeszkodzie. Macocha w Warszawie, a tu ów buziak wiśniowy czarnobrewéj Włoszki mojéj!! Powiadam ci: malina!

— Powiédz mi lepiéj jak się zowie?

Wicek potrząsł głową.

— Hm! a gdybym ja zgadł sam!?—spytał książę.—Siostrzenica doktora, Włoszka?? prawda?

Leżący na ławie nic nie odpowiedział. Książę przechadzał się po izbie nucąc.

— *A propos* — rzekł jakby od niechcenia. —Jestem w Lublinie, muszę mojego starego doktora, niegdyś naszego nadwornego, odwiedzić. Jest to także Włoch, niejaki Mellini. Dziwak wielki!

Stanął i popatrzał, krzywiąc usta do śmiechu, na Wicka, który minę zrobił na seryo...

Trwało milczenie dosyć długo... Książę powtórnie na zegarek spojrzał.

— Wojewodzicu mojéj duszy—przebąknął—pij i chodźmy.

— Dokąd?—odparł Wicek — po co? Mnie tu w chłodku wcale dobrze. Każ przynieść jeszcze parę butelek wina... Po co na skwar wychodzić?

— Ale mnie pilno do Warszawy.

— Mnie nic a nic! — rzekł leżący. — Dla miłości mojéj możesz parę godzin poświęcić.

Książę ramionami zżymnął.

— Gdybym ci się na co przydał?

— Parę godzin dobrych przy winie, toż przecie czysta wygrana —rzekł Wicek.

— A potém ty zemną do Warszawy?

Leżący potrząsł głową.

— Marzy ci się twoja czarnobrewa Włoszka, na któréj mścić się chcesz za macochę—mówił daléj książę.—Robisz z niéj przedemną sekret niepotrzebnie. Łatwo mi odgadnąć, że mój stary Mellini jest jéj wujaszkiem. Innego tu Włocha doktora niéma.

Przypominam sobie gdy był u nas, dziewczątko śliczne, które biegało boso po ogródku. Oczy miała już wówczas straszne: prorokowałem, że niemi zabijać będzie. Mellini ją strzeże jak oka w głowie, ty się tam nie dociśniesz. Kroku jéj nie daje stąpić bez *duegny.*

Wicek dziwnie poświstywał.

— Książę jesteś domyślny, ale na ten raz... darujesz...

— Ja Melliniego dziś odwiedzę—przerwał książę. — Chcesz, to ubierz się trochę i zawiozę cię z sobą.

Wicek się z ławy ruszył nagle.

— Wiész, że to jest, to jest myśl cale niezła!—zawołał.—Doktor mnie z domu wypchnął bez ceremonii. Może mnie ma za jaką hetkę pętelkę. Gdybyś wasza jaśnie oświecona książęca mość zawiózł mnie do niego, ale z warunkiem, że nazwiska mego dawnego, które porzuciłem, nie powiesz mu, i tylko tak jako bezimiennego kolegę ze Strasburga przedstawił, dziękując za to, że nie darmo głowę zaszył i mózgowi z niéj wyjść nie dał: hm, byłoby to przedziwnie!

— Nieprawda?—podchwycił książę. — Mógłbyś odzyskać prawo bywania w domu i nadużyć go, pannę z tyranii jego wyzwolić...

Śmiać się zaczęli oba i Wicek z ławy się zerwawszy, rzucił się na szyję księciu. Uściskali się serdecznie, nalali lampki i wypili potrącając o nie...

Nie słyszeli, że już od kilku minut do drzwi dyskretnie w pewnych przestankach pukano.

— Kto tam!? Wchodź-że, a nie hałasuj!—zakrzyczał książę.— Kobiét tu niéma!!

Drzwi się rozwarły lekko i pomiędzy niemi a uszakiem, ale nizko ukazała się głowa uśmiechająca z pejsami długiemi, lśniącémi od jakiegoś smarowidła... Ponad nią chuda, żółta ręka trzymała podniesioną jarmułkę... Niżéj w pargaminowéj twarzy, dwoje oczu zmrużonych patrzało i usta otwarte śmiały się kilku ogromnemi żółtémi zębami, ustawionémi w nich nieregularnie. Uśmiech był widocznie obliczony dlatego, aby usposobić patrzących łagodniéj względem intruza, który się zapewne wrażenie niemiłe wywrzeć obawiał.

— Kłaniam jaśnie panom...

Wicek się odwrócił.

— A! to ty nicponiu! Czego chcesz? po co włazisz? jak śmiesz!

Na samo poruszenie gwałtowne i groźne, głowa i ręka cofnęły się.

— Cóż to jest za potwór?—zapytał książę.

— Lichwiarz!—odparł Wicek.—Coś mu się tam należy.

— Chodź wpan tu!—krzyknął książę.

Niepewien czy bezpiecznie usłuchać było, wahał się nieco żyd; lecz w ostatku próg kłaniając się przestąpił.

Krzywy był, jakby połamany, odziany biédnie. Czapka tylko i kij różniły go od żebraka. Pierwsza z nich, mimo gorąca, miała resztki kosztownego futra, a laska skówkę srebrną.

Wszedłszy lichwiarz, najprzód księciu jegomości, potém Wickowi oddał pokłon.

— A! to Fajwel!—zawołał śmiejąc się książę.

— A! jaśnie oświecony monarcha nie zapomniał biédnego sługa! —odezwał się uradowany stary.—Tysiąc lat księciu jegomości....

— Jakżebym ja mógł cię zapomnieć, kiedyś mnie, pamiętasz, czasu trybunału, gdy się sprawa agitowała, zdarł bez miłosierdzia i to jeszcze na zastaw!

Fajwel robił miny dziwne słuchając: ramionami zżymał, brwi podnosił, ręce rozstawiał i ściskał, pasa poprawiał.

— Fajwel zdarł! a! — odezwał się.— Fajwel jest ubogi człek, co niéma grosza na szabas... Fajwel służył i pomagał, ale on swoich pieniądzów nie dawał! Fajwel ma czystego sumienia!

To mówiąc żyd, oczy zwrócił ku Wickowi. Jawném było, że przyszedł tu w nadziei, iż natręctwem tém wyrobi może spłatę długu przez księcia. Zawiódł się na tém mocno. Właśnie on wpadł na myśl całkiem inną.

— Wiész Fajwel—odezwał się—żeś ty mi tu wcale na rękę przyszedł; myślałem po ciebie posyłać.

Wskazał ręką na wojewodzica.

— Musisz mojemu przyjacielowi pożyczyć pieniędzy!

Po milczeniu znaczącém, w czasie którego usta żydowi zapadły jakoś dziwnie, Fajwel rzekł cicho:

— Jaśnie oświeconego pan przyjaciel mnie już i tak winien...

— Tém lepiéj, sumka się zaokrągli—wtrącił książę.

— Ona już jest okrągła—szepnął Fajwel.

— Ja poręczę!—rzekł książę.

Fajwel oczy podniósł.

— Za wszystkie?—spytał.

— Za wszystko!—dodał szybko książę.—Ale trzeba żeby mi pieniądze były nim my tu butelkę dokończym. Rozumiesz: dwieście obrączkowych.

— Obrzezańców—dodał Wicek.

Żyd stał mocno zadumany, widać było że ważył jeszcze czy podpis księcia wart był tyle.

— Nie chcesz ty, da mi Szmul—ciągnął książę—pal cię licho!

— Dlaczego ja niémam chcieć!—odezwał się Fajwel—a kiedy termin.

— Jak rak świśnie!—odparł Wicek.

Żyd się zmarszczył.

— Na Nowy Rok—przerwał książę.

— A prowizye? teraz pieniądz jest drogi!—westchnął żyd.

Wicek się wtrącił i klapnął Fajwla po ramieniu.

— Nogi za pas! ruszaj po dukaty, a żywo... prowizyą dam jakąm dawał...

— Ja jeszcze żadnéj nie widział.

— Stoi przypisana do skryptu!—rozśmiał się Wicek...

Począł się targ żwawy, który książę zakończył, Fajwla zlekka wytrącając za drzwi.

Skutek jednak rozmowy był ten, że w pół godziny po tém, wniesiono do izby kałamarz, do którego wnętrza nalano trochę ciepłéj wody, pióro niechcące pisać i kawałek papieru z książeczki wydarty. Wicek napisał bujnym charakterem skrypt, cóś pod nim niewyraźnego naplątał zamiast nazwiska, a książę położył téż w dole sygnaturę i pieczęć swoję.

Dukaty które wyliczył Fajwel, głowa w głowę były wszystkie poobrzynane, na co już wcale nie zważano.

— Jedź książę do gospody—odezwał się raźno Wicek, całując go. Za godzinę od stóp do głów odnowiony stawię się...

— I razem do Melliniego?

— Tak! razem do doktora, ale, bez nazwiska!

Książę ruszył ramionami.

— Zaprezentuję mu kolegę ze Strasburga, wojewodzica, ale Ignotusa, Anonyma...—dodał wesoło—niech sobie głowę łamie nad zagadką!

V.

Przed dworkiem doktora Melliniego, pod oknami pokoiku, który zajmowała Pepita, oddawna stała przybita na wieki ława dębowa. Siadywali na niéj czasem oczekujący na konsyliarza pacyenci, a gdy słońce nie dopiekało z téj strony i za domami się skryło, ku wieczorowi niekiedy odpoczywał tu doktor sam, świeżego używając powietrza. Gdy nikogo dokoła nie było, we drzwiach czasem pozwalał stawać siostrzenicy i rozmawiał z nią stary syn Eskulapa.

Od kilku dni jednak do rozmowy wcale nie był usposobiony. Gawłowska mówiła pocichu, że ma swoje humory; Pepita odgadywała potroszę zkąd one pochodziły. Przyjęcie do domu rannego owego nieznajomego, który widocznie sobie z doktora żartując, pozwalał nadto w jego domu, a naostatek o najdroższy jego skarb śmiał się pokusić, nie mogło jeszcze być zapomnianém. Nie szłoby Melliniemu o tego przybłędę, którego się pozbył, gdyby, znawca serca ludzkiego i niewieścich fantazyi, nie dostrzegł, iż Pepita, zamiast się oburzać z nim na zuchwalca, w sercu dlań inne, czulsze karmiła sentymenta. Wprawdzie się do nich nie przyznawała, zapierała się nawet; lecz doktor miał bystre oko, i nic się przed nim utaić nie zdołało. Humor dziewczęcia się zmienił, wesołość znikła, znajdował ją zamyśloną, nie swoją, a gdy usiłowała być wesołą, czuł że była nienaturalną.

Chociaż wiele rachował na czas, iż zatrze wrażenia i wspomnienia rozprószy, zawsze niepodobało mu się, że dziewczę mogło się zająć lada pierwszym lepszym szaławiłą. Wzdychał myśląc na ile to niebezpieczeństw młodość jest narażona, i mocniéj niż kiedykolwiek pragnął Pepitę wydać za mąż. Nikt mu się nie trafiał.

Tymczasem radby ją był rozerwał, i szukał w staréj głowie niewinnych środków a skutecznych na niewieście młode tęsknoty.

Siedział w tych myślach zatopiony Mellini, powtarzając machinalnie: „*Giovanezza non ha saviezza*" (młodość rozumu niéma), gdy na drodze od miasta prowadzącéj ku dworkowi ujrzał dwie postacie, idące zwolna, które go mocno zaintrygowały. Zdala twarzy ich rozpoznać nie mógł, a ruchami i postawą coś mu znajomego przypominały. Byli to dwaj młodzi mężczyzni: jeden, wedle najnowszéj mody francuzkiéj ubrany, z kamizelką która zdawała się mundurową, piękny, słuszny, bardzo pańsko wyglądający, w kapelusiku na bakier siedzącym na głowie, więcéj dla fantazyi, niż dla pokrycia jéj; drugi kuso po polsku przystrojony, z ręką w bok, z szablą która się za nim wlokła... Trzymali się obaj pod ręce, pochyleni ku sobie, jak dwaj serdeczni druhowie, a z chodu zamaszystego i ruchów towarzyszących ożywionéj rozmowie, wnosić było można, iż choć się dobrze na nogach trzymali, musieli być po obiedzie wesołemi zakończonym kielichami.

Rozmowa ich, przeplatana głośnemi do zbytku śmiechami i wykrzykami, z sąsiednich domostw ciekawe głowy wywabiała. Kilka mieszczanek wyszło aż na próg, aby się zdala tym dwu ważnym takim i pięknym paniczom przypatrzeć.

Doktor ich nie spuszczał z oka, i, w końcu jak przestraszony pierzchnął z ławki.

Wpadł pędem do pokoiku siostrzenicy i szybko bełkocząc odezwał się:

— Idź do Gawłowskiéj, i nie ruszaj się ztamtąd, póki nie powiem; proszę o to!

Pepita chciała zapytać, doktor mówić jéj nie dał.

— Jak mnie kochasz! zaklinam! Niepotrzebnych będziemy mieć gości. Niech Gawłowska wino dobre przygotuje. Ty, ani mi się rusz!

Posłuszna Pepita, choć się zżymnęła, chwyciła za robotę, i zabrała się wychodzić; rzuciła jednak wejrzenie przez okno, i wzrok jéj zatrzymał się na nadchodzących. Twarzyczka się zarumieniła, pobiegła westchnąwszy. Mellini tymczasem narzuciwszy suknią na siebie, umyślnie zwolnionym krokiem wysunął się ku drzwiom zażywając tabakę.

O trzy kroki już stał od niego książę Kazimierz, a za nim piękniejszy niż kiedy, z wielką butą przezentujący się, uśmiechnięty Wicek Szarzak.

— Co widzę! książę Kazio!—krzyknął Mellini, który go nawykł był tak od dzieciństwa nazywać.

— Tak jest! twój dawny pacyent, począwszy od wyrzynania pierwszych zębów. Widzisz! góra z górą! Przychodzę najprzód staremu przyjacielowi domu złożyć wyraz afektu mojego, a powtóre podziękować mu za to żeś mi przyjaciela ocalił—wskazał na Wicka.

— Mój kolega ze Strasburga, gdzieśmy razem z Zajączkiem byli: wojewodzic Ignotus...

Doktor zafrasowany dosłyszał tylko, „wojewodzic" i odezwał się—jak? jak?

— *Ignotus!* wojewodzic pragnący zostać anonymem! Dosyć że mój przyjaciel. Przyszliśmy ci się pokłonić i podziękować.

Mellini się zgiął, powitał i zapraszając do dworku, twarz przybrał wesołą.

Weszli wszyscy do saloniku, w którym stał klawicymbalik, a spojrzawszy nań Wickowi się westchnienie wyrwało, przypomniała się czarnobrewa śpiewająca.

— Dokądże to książę przez Lublin, bo juści nie do Lublina o te czasy, gdy trybunał *vacat?*—zapytał doktor.

— Do Warszawy na sejm!—odparł książę.—Zabawimy się tam ślicznie!

— I przyjaciel, pan wojewodzic, także?—dodał Mellini.

Książę nie mógł się wstrzymać od śmiechu, obrócił się do Wicka, który głową potrząsał.

— Ja, nie wiém jeszcze!—rzekł wojewodzic.

— A wiész—wtrącił książę nagle—co mnie tu téż do ciebie przypędziło? Pamiętasz, tę? to dziewczątko, co to po placencyi boso biegało? Ja doskonale czarne jéj oczy po dziś dzień sobie przypominam; obliczając dobrze, wypada mi że ta bosonóżka musi miéć lat blizko dwudziestu... Dyablem ciekaw ją zobaczyć!

Śmiał się.

— Tém bardziéj, że mój przyjaciel wojewodzic, mówił mi o cudzie piękności, który się tu u ciebie kryje, a nie może to być nikt inny, tylko moja bosonóżka!

Doktor przybrał minę bardzo seryo, prawie gniewną.

Wyraz ten jego twarzy trwał bardzo krótko, zastąpiła go ironia.

— Mości książę—odparł—niéma na co patrzeć; słowo daję: nie będziecie z niéj mieli ani Tomatysowéj, ani Bacciarellowéj, ani nic po-

dobnego. Ja w tém! Po co wam ma darmo ślinka do ust przychodzić?? Na wielki świat ją nie puszczę, bo to jest wielka kałuża... przepraszam... zabawki z niéj zrobić nie dam... Chcę żeby była w małym kątku szczęśliwą. To zwierzyna nie dla was!

Ukłonił się i zażył tabaki.

Książę z wojewodzicem zamienili wejrzenia.

— Drapieżny zawsze ten Mellini!—rozśmiał się książę.

Doktor nie chcąc dłuższéj w tym przedmiocie rozmowy, znając gościa swego, zakręcił się.

— Gorąco—rzekł—książę-byś się napił!

— Chorego pytają a zdrowemu dają!—odparł książę—a maszże co dobrego?

— Hej! wszakcito na sławnych Winiarach jesteśmy — rzekł z udaną wesołością Mellini—tu byle laską stuknąć w ziemię, węgierski zdrój z piwnic wytryśnie!

I żwawo wybiegł z salonu.

Dwaj przyjaciele zostali sami.

— Mówiłem ci—odezwał się cicho książę—nie masz tu co tracić czasu... Daremne zachody: jedź zemną!

Wojewodzic wąsa pokręcił i zmilczał. Doktor wracał już z twarzą rozjaśnioną a za nim służąca niosła na tacce spory gąsiorek staroświeckiego kroju, i lampki rznięte z herbami saskiemi.

Książę wejrzeniem znawcy zmierzył figurę, kolor i pajęczyny gąsiorka.

— Nie źle wygląda z fizyognomii!—odezwał się siadając.—Naléwaj gospodarzu: za twe zdrowie!

— Przepraszam: zdrowie gościa najprzód—odparł Mellini, potém inne...

Wojewodzic siadł także do stołu, milczący był jakoś, ale oczyma biegał po domu, a wyraz był ich jakiś niepokojący gospodarza.

— Mam nadzieję, mój konsyliarzu—odezwał się, lampkę wychyliwszy książę—że mimo nauki moralnéj, bosonóżkę nam pokażesz. Oczyma jéj nie zjemy, a ja ci przysięgam, że dopóki nie zobaczę, póty się ztąd nie ruszę, choćby bezemnie sejm zrobili.

Mellini się kwaśno uśmiechnął.

— Wolne żarty—rzekł.

— Ty wiész co mnie znasz od dziecka, żem uparty strasznie i samowolnie.

— Myślałem żeś W. Ks. Mość z tych defektów wyrósł?

— Nie, one wyrosły nie ja—odpowiedział książę śmiejąc się.—Za dawnych czasów kochana mama mogła mnie za uszy wytargać, a teraz już do nich nie sięgnie, bom wyrósł. Więc kochany doktorze, *clara pacta!* Nie ruszamy się ztąd, nie wypiwszy zdrowia bosonóżki.

Mellini spuścił głowę.

— Czas mamy piękny do podróży!—odezwał się.—Książę go dobrze wybrał.

Interpelowany zaczął się śmiać hałaśliwie, jak miał we zwyczaju.

— Zagadujesz, konsyliarzu!

— Rany pana nie bolą?—zapytał Mellini zwracając się do wojewodzica.

— Wszystkie mu się pogoiły, oprócz jednéj—rzekł książę szydersko. Czarne oczy waćpana siostrzenicy zraniły mu serce.

Mellini się zerwał z krzesełka, twarz mu się zarumieniła.

— Mój książę—zawołał impetycznie—czy chcesz mnie do ostatniéj niecierpliwości przyprowadzić? Żartuj ze starego waszego sługi jak chcesz, ale proszę W. Ks. Mości, zapomnieć o.. o... (jąkał się) o mojéj sierocie.

Uśmiechnął się nieubłagany książę.

— Mellinku, duszo moja, ty w tym Lublinie zdziczałeś. Jakże możesz za złe wziąć dwom dystyngowanym kawalerom, iż chcą złożyć hołd uwielbienia twéj siostrzenicy...?

Doktor ramionami ruszył.

— Zdrowie księcia generała!—zawołał.

— *Ad rem!* Ja piję zdrowie pięknéj czarnookiéj—rzekł książę wstając.—Panie wojewodzicu! na klęczkach najprzód kielichy podnieśmy! A teraz z niemi idźmy po całym domu, choćby przyszło na strych szukać téj, któréj... wiwat! okrzykniemy.

Ruszyli się, doktor pobladł z gniewu.

— Na miły Bóg, mości książę! Mojéj siostrzenicy niéma w domu!—krzyknął.

— Da się to widziéć!—odparł książę—idziemy sprawdzić!

Już się ruszać mieli, gdy Mellini pobladłszy, skłonił się ceremonialnie i dał znak ręką.

— Idę po nią!—dodał z gniewem tłumionym.

Książę w dłonie klasnął i siadł na kanapce. Wojewodzic, który w czasie całéj téj rozmowy tylko minami jéj dopomagał, wybuchnął:

— Jesteś nieoszacowany!

Pocałowali się dwaj przyjaciele, książę nalał kieliszki wypróżnione, bo wino było dobre. Czekali: doktora długo jakoś widać nie było.

— Czego mamy próżnować, panna się musi stroić i trefić!—mówił książę nalewając—gąsiorka tego nazad puszczać niedokończywszy, byłoby z obrazą tego domu. Pijmy!

Pili śmiejąc się, doktora i panny widać nie było.

Rozmowa się toczyła o wesołych przedmiotach. Czas uchodził. Książę spójrzał na zegarek.

— Musieli po fryzyera posyłać do miasta, albo panna robrona ułożyć nie może.

W gąsiorku coraz ubywało, a wesołość rosła. Książę znudzony poszedł do klawicymbału, usiadł przy nim i towarzysząc sobie, począł śpiewać dość swawolną francuzką piosenkę. Wicuś mu pomagał.

Na dworze mrok padał. Przebrało się piosnek i wina, w gąsiorku lagier już był tylko.

— Ale się guzdrzą!—zawołał książę. Wtém u progu ukazała się pani Gawłowska. Szła i wystraszona i pomieszana i napół uśmiechnięta. Sięgnęła ręką po gąsiorek próżny.

— Książę każe podać drugi?—zapytała.

— A doktor i panna? taż to już wieczór—odezwał się książę. Wino dobre, wytrawne, ale namby czas do domu. Kiedyż pannę pokażecie?

Gawłowska usta sobie zatuliła ręką.

— Hm?—powtórzył książę.

— Doktora i panny dawno w domu niéma—szepnęła.

Zerwał się z krzesła gość.

— A gdzież są?

— Przyznam się księciu Jegomości, że ja tego z pewnością wiedzieć nie mogę, czy do Zawieprzyc pojechali, czy do Piasków.

Aż krzyknął książę.

— A! to mi zuch Włoszysko!—zawołał—paradnie. Ale, słowo się rzekło—dodał zaraz spokojniéj—ja słowa nigdy nie rzucam darmo. Powiedziałem że się ztąd nie ruszę, dopóki panny nie zobaczę; zatém, moja jéjmość, myślcie o wieczerzy i o łóżkach: my tu nocujemy.

— Niémasz kart? zagramy choć w chapankę! Niéma co robić!

Gawłowska osłupiała i ręce załamała rozpaczliwie, wojewodzic aż przysiadał od śmiechu.

— Zobaczymy czyje będzie na wierzchu!—odezwał się rezolutnie książę.—Wójewodzicu kochany, padasz ofiarą przyjaźni dla mnie! Spodziewam się że mnie nie opuścisz?

— Nigdy w świecie!—krzyknął rozochocony i winem i awanturą Wicek.

— Pani Gawłowska, dobrodziejko!—dodał zwracając się ku niéj—prosimy o dwie świéce i karty.

Kobiéta z gąsiorkiem w ręku jeszcze stała jak nieprzytomna, nie chciało jéj się uszom wierzyć, ale goście się rozsiadali i żart zaczynał nabiérać pozoru groźnego.

Nie wiedziała co robić.

— Wielcebyś mnie asińdzka zobligowała—odezwał się książę, dobywając kilka dukatów z sakiewki i gwałtem niemal wciskając je w ręce gospodyni—gdybyś na mój koszt wysłała umyślnego do konsyliarza, oznajmując mu, że choćby i do Nowego Roku i tu na niego czekać będę.

To powiedziawszy, książę się wygodnie rozciągnął na kanapce.

— Słuchaj wojewodzicu méj duszy—rzekł—potrzeba się czém zabawić. Zrób ścisłe poszukiwanie po szufladkach, azali tam zabłąkanéj jakiéj talii kart nie znajdziesz!

Śmiejąc się Wicek posłuchał i prędzéj niż się spodziewali, pomyślny skutek uwieńczył poszukiwania. W stoliczku z warcabnicą, ku któremu instynktowo skierował się wojewodzic, znalazła się talia tasiemką związana. Powitano ją okrzykiem; przyjaciele, oba gracze zawołani zabrali się najprzód do maryasza, ale nim pulę rozegrali, książę zaproponował założenie banczku Faraona i wysypał garść dukatów na stół. Pożyczonémi z rana u żyda obrzezańcami, Wicek począł się szczęścia dorabiać.

Gra stała się wkrótce tak ożywioną, że książę zapomniał o Bożym świecie, gdzie się znajdował, na kogo czekał. Niepraktykowanym sposobem Wicek wygrywał. Ostatnią garstkę wydobywszy książę, markotny wielce, w przeciągu pół kwadransa został bez grosza.

Noc była ciemna.

— Wiész, że jabym co przekąsił—odezwał się ziewając—oni tu nas jak twierdzę oblężoną, chcą głodem wziąć.

Gawłowska się nie pokazywała.

— Ja, jako świadomy miejscowości—rzekł wojewodzic—idę na zwiady. Czasu wojny, co na placu to nieprzyjaciel; jakiekolwiek zdobędę wiktuały, przyniosę...

Jednę ze świec wziąwszy w rękę, Wicek pokierował się wprost do pokoju Gawłowskiéj, w którym cały fraucymer znalazł zgromadzony i z trwogą oczekujący końca.

— Jéjmościuniu—rzekł—książę mnie tu przysyła, jako parlamentarza: jesteśmy głodni.

— A cóż ja mogę takiemu panu dać jeść! U mnie niéma nic! —krzyknęła ochmistrzyni.—My w domu zapasów nie trzymamy, a na miasto ja nie pójdę.

— Zgoła nic!—zapytał Wicek oglądając się po izdebce.—Jejmościuniu, zrób choć kawy i daj do niéj choćby chleba. To nie są żarty, książę się ztąd nie ruszy: dał słowo!

Gawłowska załamała ręce i poczęła płakać, resztą sług poszła za jéj przykładem; jęk i łkanie rozległo się w izbie. Wicek przeciwko temu orężowi niewieściemu słabym się czując, drapnął.

— Wiész, mój książę—odezwał się powracając do salonu—źle z nami! Głodem nas wezmą! niéma nic w kuchni i wszystkie baby płaczą. Zdobyliśmy pozycyą, w któréj się nie utrzymamy. Oba z W. Ks. Mością uczyliśmy się strategii w Strasburgu, a przy pierwszéj wspólnéj wyprawie, książę okazałeś mi się wodzem nieosobliwym.

— Jestto coś nakształt tego przysłowia staropolskiego: „Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma! cha! cha!—począł książę.— Ale to ty wszystkiemu winieneś.

— Ja! a to mi się podoba! Cały plan kampanii jest W. Ks. Mości—odparł wojewodzic.

— A kto mi bosonóżką głowę zawrócił?—zawołał książę!

— Byłem nieopatrzny, żem o niéj wspomniał, takiemu bałamutowi, jak książę!—odparł Wicek.

— Słuchaj-że, nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości—wybuchnął już poirytowany książę.—Poświęciłem się dla ciebie, spóźnię się do Warszawy, ograłeś mnie i jeszcze mi robisz wymówki.

— Boś na nie zasłużył—odparł równie żywo Wicek.—Najgorsza ze wszystkiego, że mi ta awantura u panny popsuje reputacyą. Niech W. Ks. Mość.... z pozwoleniem, biorą....

— Wojewodzicu mojéj duszy—krzyknął książę—mam nerwy poirytowane, milcz, bo się zwadzim!

— No, a jak się zwadzim, to co?—zawołał Wicek.

Książę, leżący na kanapie, zerwał się.

— Wicek! ty wiész, że ja jestem gorączka!

— Książę mnie znasz—odpowiedział wojewodzic—że ja flegmatyk nie jestem.

Tych słów domawiał, gdy książę za szpadę pochwycił, a wojewodzic miał się do szabli. Wszystko to z tych nudów. Ale gdy z jednéj strony błysnął rożenek, a z drugiéj nowiuteńka klinga pałasza, oba się zaczęli śmiać i książę rzucił się na szyję wojewodzicowi. Uścisnęli się śmiejąc do łez. Ale nim do tego przyszło, stojąca widać za drzwiami na podsłuchach Gawłowska, na widok oręża, narobiła krzyku. Słysząc pisk niewieści, wojewodzic wybiegł za nią.

— Pani Gawłowska—począł wołać—jeść nie masz nam co dać, dawaj wina! Gąsiorek takiego samego, a jeżeli masz lepsze i owszem. Do tego choć chléba, krótką noc letnią jakoś się przebędzie.

Ponieważ była dyspozycya doktora, aby wina dostarczyć, Gawłowska poszła natychmiast z kluczami do piwnicy. Wojewodzic powrócił do księcia, który wyciągnąwszy się na krótkiéj kanapce, z nogami zwieszonémi z jednéj strony, z drugiéj zamiast poduszki, podłożywszy sobie ręce, drzémał.

— A co tam?—rzekł wpół przez sen.

— Kazałem dać wina—westchnął Wicek—musimy pić, aby czas jako tako przeszedł; ale trzeba seryo myśléć co tu począć?

— Słowo dałem, że nie pójdę nie zobaczywszy panny—rzekł książę—trudno!

— W końcu doktor nam woźnego i pachołków naśle, aby z domu wyrzucić, boć dom jego.

— A i w takim razie—rzekł książę—zmieni się położenie; będzie *force majeure:* ustąpię.

Gawłowska gąsiorek przyniosła. Wojewodzic pożyczył koledze garść dukatów i zaczęli grać na nowo.

My tymczasem spójrzmy co się z doktorem stało.

Mellini rozgniewany i obrażony impozycyą książęcą, któréj uledz nie chciał i słusznie obawiając się znanego z lekkomyślności księcia generała, wprost z salonu poszedł do pokoju Gawłowskiéj; Pepicie kazał chustkę zarzucić na siebie i sam ją przeprowadził do sąsiadki pani Strańskiéj, oddając jéj w opiekę skarb swój. Poznamy wkrótce bliżéj tę sąsiadkę i opiekunkę. Sam, unikając rozprawy z księciem, zburzo-

ny, gniewny, poszedł do miasta, a że miał sobie bardzo przyjaźnego przeora księży Dominikanów, nie tłómacząc mu się obszerniéj, na noc się do celi klasztornéj wprosił.

Jak tam przenocował, jemu tylko było wiadomo. W najgorszym razie przypuszczał, że książę, znany ze swych wybryków, może dosiedziéć załogę do północy, ale dom jego w końcu opuści. Rano więc, pożegnawszy księdza przeora, który ciekaw był bardzo dowiedziéć się, co tu starego sprowadziło, a nic z niego dobyć nie mógł, poszedł Mellini na Winiary. Po drodze jednak, choć przechodził mimo dworku pani Strańskiéj, nie zabrał Pepity, chciał się wprzódy przekonać, jak rzeczy stoją w domu.

Była godzina ósma, gdy tyłami dostawszy się do siebie, zaszedł do Gawłowskiéj.

Ochmistrzyni spała w fotelu.

— Kiedyż poszli?—spytał rozbudzonéj.

— Albo poszli?—odparła Gawłowska.

— Jakto? są jeszcze?—krzyknął doktor.

— A byli niedawno—jąkliwym głosem poczęła ochmistrzyni.— Całą noc pili i w karty grali. Nad ranem książę się wyciągnął na kanapie, a ten drugi, co był ranny, zestawił sobie krzesełka, pod głowę dywanik ułożył i.... śpią!

Mellini słuchał uszom nie wierząc; twarz mu gniew rozpromienił. Zląkł się, żeby Pepita w nieświadomości położenia nie powróciła nagle od Strańskiéj i nie mówiąc słowa, wrócił nazad, aby przestrzedz siostrzenicę.

W dworku wdowy Imci pani Strańskiéj wszystko już było oddawna na nogach. Pepita, nie mogąc na ulicę, wyglądała niecierpliwiąc się przez okna ogrodowe, ażali się nie doczeka wyzwolenia. Trochę się gniewała za tę zbytnią pieczołowitość i tchórzowstwo wuja, gotowa nawet w oczy mu powiedziéć, że ona wiele się księcia nie obawiała i potrafiłaby mu dać odprawę.

W tém usposobieniu zastał ją wchodzący Mellini.

— A cóż? wujaszku?—odezwała się podchodząc ku niemu—długo ja tu siedziéć będę?

— Albo ja wiem!—zawołał doktor—z tymi panami, to jak z drapieżnémi zwierzęty; nigdy nie można być pewnym, że ci się oswojony nie rzuci do oczów: nawet trefne ich żarty, do wnętrzności człowiekowi dojadają.

— Cóż się stało?

— Siedzą bestye u nas i czekają, ażeby piękną Pepitę zobaczyć. Wypili w nocy trzy gąsiorki najlepszego wina. Z saloniku zrobili chlew, oberżę i śpią teraz.

Pepita się rzuciła trochę gniewnie, ale i z pustotą dziecka.

— Nie może być!

— Mówię jak jest—zawołał doktor.

Dziewczę, widząc wuja przybitym, nabrało śmiałości.

— Panowie jak panowie—odezwała się z przekąsem—ale téż i kochany wujaszek winien.

— Zapewne! ja!—bąknął stary.

— A tak!—kończyła ośmielając się Pepita.—Cóżto ja dziecko jestem czy co? Czy oniby mnie oczyma zjedli? Zobaczyłbyś jakbym sobie z tymi zuchwałymi ichmościami dała radę!

— Ja nie chcę, abyś z nimi nawet znajomość zabierała, nie chcę! —odezwał się doktor.—Kto wié, jaką siłę szatańską mają ich oczy i słowa.... Widziałem przykłady! Wolę....

— A tymczasem ich fantazyi a mojéj niewoli końca nie będzie! —odezwała się nadąsana Pepita.—Oni się uprą, wujaszek téż uparty bez potrzeby, a ja tu w komornem.... i wstyd mi. Śmieją się ludzie!

Chwilkę się zatrzymała.

— Niech mi wujaszek da rękę—rzekła—chodźmy śmiało, a jeśli ich w kwadrans z domu nie wyprawię! No.... zobaczysz!...

Mellini się zawahał.

Pepita dąsała się jak popsuta jedynaczka.

— Wuj tego nie widzi, że to śmieszne! słowo daję! Jakież mi może grozić niebezpieczeństwo? Cóż oni mi mogą zrobić?

W téj chwili przyszło jéj na pamięć, jak brutalnie porwał się do niéj z całusem ów Wicek, zarumieniła się i umilkła.

Doktor, któremu dokuczało zajęcie domu, nieład i przerwa w jego regularnym życia trybie, nawpół był zachwiany w postanowieniu.

Pepita to dostrzegła.

— Idziemy!—zawołała—trzeba to raz przecie skończyć.

Nie była ubraną, ale jéj w tym zaniedbanym stroju było może lepiéj do twarzy, niż w napół modnym. Nie myślała téż czynić księciu tego honoru, by się do niego fiokować.

— Wprost pójdziemy — powtórzyła rezolutnie — pokażę się im: zagadają, odpowiem, i będą musieli iść precz!

Mellini zmilczał, chciał skończyć co rychléj nieprzyjemną awanturę, dał się pod rękę wziąć siostrzenicy i w milczeniu do dworku się skierowali. Czy w drodze wielka owa śmiałość nie opuściła panny i doktor nie rad się był wycofać? nie zaręczym. Oboje wstydzili się okazać obawę.

Po winie i grze nocnéj, ledwie się przebudzili załogujący w salonie doktora, i to z łaski Gawłowskiéj, która w sieni dziewczynie kazała stukać umyślnie, aby ich ze snu wyrwać. Książę się wyciągał, ziewał Wicek, zadumani patrzyli sobie w oczy, trochę się wstydząc swojego wybryku, gdy Gawłowska wykomenderowana, z miną poważną, zimną, oznajmiła przybycie doktora i panny. Pepita w swojéj izdebce poprawiała włosy.

W saloniku był nieład wielki: porozlewane wino, porozstawiane sprzęty, porozsuwane stoły.

Ochmistrzyni własnoręcznie się wzięła do uporządkowania: otworzyła okno; niespodzianie wiadomością o swém zwycięztwie pochwyceni ichmość, patrzyli na siebie niespokojnie. Książę co najprędzéj w zwierciadle począł włosy i suknie poprawiać. Zaledwie mieli czas się obejrzeć, doktor wiodąc za rękę siostrzenicę, wsunął się do pokoju, przybrawszy minę szyderską.

— Niéma co, mości książę—zawołał — zwyciężyliście, i aby się gości nieproszonych pozbyć z domu, biédny plebejusz muszę spełnić rozkazy w. ks. mości. Oto moja siostrzenica.

Z figlarną, ale razem dumną miną, za rękę wuja trzymając, śliczna w rumieńcach świeżych, z pałającémi oczyma, Pepita stała, z dziecięcą zuchwałością mierząc oczyma księcia. Wprzód jeszcze wzrok jéj się ośliznął na Wicka, który ją uśmiechem porozumienia pozdrowił.

— Bardzom księciu wdzięczna za pamięć o mnie—odezwała się śmiało Pepita — ale przyznam się, że po przebytéj niewygodnie z jego łaski nocy i ranku, wolałabym, abyś w. ks. mość raczył o bosonóżce zapomnieć.

Wcale niezmieszany, książę się chciał przybliżyć ku niéj, gdy dziewczę, wyrwawszy się doktorowi, główką dało znak pożegnania.

— Chciałeś w. ks. mość widzieć jak wyglądam? Ciekawość zaspokojona. Adieu!

Zrobiła minkę pogardliwą, z ukosa gniewny wzrok rzuciła na wojewodzica, i uciekła.

— Doktorze!—krzyknął książę w uniesieniu—ale to cudo piękności! Winszuję ci!

— Spodziewam się, że już w. ks. mość jesteś zaspokojony... i.... mam honor go pożegnać. Nóżki całuję...

To mówiąc, skłonił się i wyszedł.

Wojewodzic parsknął.

— A co? m. książę, wynośmy się, nie mamy już tu co robić!

— Ten Mellini zawsze był impertynent—rzekł książę.—Trudna rada... Słowo honoru dotrzymane, rad jestem żem wolny. Daj za mnie, proszę cię, Gawłowskiéj parę dukatów i chodźmy.

Stało się jak chciał książę, wyszli ziewając na ulicę i nie wiem, czy dostrzegli gdy mijali okna pokoiku Pepity, że firanka drżała. Dziewczę raz jeszcze chciało zobaczyć tę piękną głowę zuchwalca, któréj we krwi broczącéj na ziemi zapomnieć nie mogło. Gniewała się na niego, a coś ją ku niemu ciągnęło. Rada była że odchodzili, i żal jéj było, że go już może nigdy nie zobaczy. Ścigała idącego długo zadumana, dwie łzy, prędko otarte, z powiek się stoczyły, których się sama zawstydziła. Jawném było, że ten śliczny chłopak, zepsuty, rozwydrzony, ani westchnienia, ni łzy był nie wart, wstrzymać się jednak nie mogła, aby się nad nim nie ulitowała.

Z tęsknem jakiémś uczuciem siadła przy okienku, a gdy się oddalili odchodzący, podniosła firankę, aby ich widzieć jeszcze.

Książę, choć twarz miał znużoną i wyżytą, był bardzo pięknym mężczyzną, ale nie czynił na niéj najmniejszego wrażenia. Gniewała się na zuchwalca,—ale ten! ten!

Zdawało jéj się, że go widziała lecącym na zgubę w przepaść, młodo gdzieś tracącym życie... i myślała, że uratowaćby go można, otrzeźwić z szału, przytrzymać,—ocalić!

Tymczasem książę szedł z wojewodzicem ku gospodzie, gdzie na niego dwór z wielkim niepokojem od wczoraj czekał. Ludzie byliby może rozbiegli się szukać, gdyby ze swym panem do wszelkiego rodzaju podobnych nocnych i dziennych wybryków jego nie byli zdawna nawykli. Grali więc i pili całą noc, naśladując jaśnie oświeconego, i spokojni byli, że mniéj więcéj podchmielony i zgrany powróci. Po drodze układało się plany.

— Wojewodzicu méj duszy—mówił książę—jedziesz zemną.

— Nie, książę mojego serca: zostaję.

— Po co?

— Bo siostrzenica doktora oczarowała mnie. Wiész, że poprzysiągłem rodzajowi niewieściemu zemstę.

— Słyszałem.

— Ta musi pierwsza paść ofiarą.

— A ja ci powiem — odezwał się książę — że doktor cię gotów struć, gdy mu się na oczy nawiniesz. Dziewczyna wściekle piękna, ale życia znowu nie warta.

— Ale moje życie nic nie warte!—zawołał Wicek.—Zostanę tu. W Warszawie gdy się o mnie dowié macocha, nasadzi na mnie zbirów, życia nie jestem pewny...

Wyrwawszy się wojewodzicowi, książę wziął się za boki i śmiać począł.

— Pleciesz!

— Na ten raz nie zmyślam, i daję słowo, że Dosia jest zdolną się do tego posunąć. Miałem dowody. Do Warszawy powrócę, gdy się uspokoi, że mnie już na świecie niéma, i żem z desperacyi sobie gdzieś w łeb strzelił,—tymczasem... Pepita musi być moją.

— Żenić się myślisz?—spytał książę.

— Gdzie zaś! mszczę się!—odparł szydersko wojewodzic.

— Waryat jesteś, wojewodzicu duszy mojéj!

— W mojém położeniu istotnie zwaryować można! — zakończył wojewodzic—ale jeszczem nie zwaryował...

Rozmawiając tak, doszli do gospody. Wojewodzic wstąpił jeszcze na śniadanie do starego kolegi, odebrał dług kartowy, i pożegnawszy go, śpiewając, puścił się w ciemną uliczkę poza Dominikanami.

VI.

Sześciu palestrantów, zuchów wielkich, którzy u Seliga Pecztanera wzięli tak do serca kpiny znajomego im tylko z hulatyki pana Wincentego, że go porąbali, i zobaczywszy we krwi pławiącego, uciekli, miało kilka dni potém niespokojnych. Następstw się obawiali, gdyby, broń Boże, ów pan Wincenty był zabity. Jeden z winowajców, śmielszéj nieco natury, nazajutrz poszedł na zwiady, i od Mordka, posługującego u Seliga, który na dywaniku nosił porąbanego, dowiedział się za pół tynfa, że p. Wincenty żył i leżał u doktora.

Gdyby umarł, mieliby dużo kłopotu, ale gdy się okazało, że żył, i to dawało do myślenia. Znali go z poprzednich hulatyk wspólnych, że był okrutnie śmiały i w szable mocny. Czuli, że gdyby ich nie było sześciu, nigdyby mu rady nie dali.

Następnych dni jakoś się ten niepokój zmniejszył, a w ostatku nie widząc p. Wincentego, zupełnie ochłonęli ze strachu.

Aż tu w dni kilkanaście, jeden z obżałowanych zjawił się z ogromnym plastrem na twarzy. Był szpetnie cięty, i, do czego się nie przyznał, wypłazowany tak, że go dni trzy, leżącego na żołądku, żyd smarował, nim mu plecy dobrze podgoił... Gdy go o przyczynę plastra pytali towarzysze, zbył ich ni tém, ni owém, nie wzmiankując o p. Wincentym, któremu, salwując życie, zmuszony był dać słowo szlacheckie, że kolegom nie powié nic.

W parę dni, drugi z téj szajki, ukazał się z ręką na temblaku. I ten składał to na jakiś przypadek. Tylko pierwszy z drugim spojrzeli sobie w oczy i—musieli się zrozumiéć, ale zmilczeli.

Wprędce téż przyszła koléj na trzeciego, który palce postradał. Czwarty miał ucho tak dobrze jak obcięte: wątpiono, czy przyrośnie. Piąty w łóżku lizał się trzy miesiące, a szósty znikł bez śladu.

P. Wincenty ukazywał się na ulicach z dawną swą butą, i po winiarniach gościł, a burszował i wyrabiał dziwy. Mówiono, że kogoś, urazę doń mając, zmusił sześć razy przez kij skakać, i wypłazował, kilku niewinnych poobcinał. Bano się go powszechnie i z drogi mu schodzono. Ale przytém hojny był: poił, przegrywał, karmił, i w wesoły humor wpadłszy, śmiech z sobą przynosił, że się ściany trzęsły. Co robił w mieście nikt nie mógł odgadnąć. Zjawiał się, znikał, kilka dni wszędzie go było pełno, potém tydzień ani zobaczyć. W garkuchniach i winiarniach to płacił długi, to zaciągał nowe,— pańsko się znajdywał i żydzi mu, mimo jego impetów, gniewów, zrzucania jarmułek, pieniędzy pożyczali.

Chodziła wieść, że to był syn marnotrawny wielkiego magnata, ukrywający swe nazwisko... Żydkowie pocichu jednak to nazwisko sobie do ucha podawali.

Niektórzy z nich w chwalebnym zamiarze wyśledzenia zatrudnień i stosunków zagadkowego młodzieńca, starali się kroki jego badać. Wiedzieli, że codzień wychodził na Winiary, i tam znikał. U Seliga Pesztanera jednak od owéj nocy pamiętnéj nigdy go nie widziano.

Mocniéj interesowany w téj sprawie Fajwel, wiedział, że bywał i przesiadywał często u pani Strańskiéj, i jakoś ramionami ruszał na to, jakby mu się to bardzo dziwném wydawało.

Pani Strańska, imieniem Balbina, zowiąca się wdową, mająca małą pięcioletnią córeczkę, była osobą jeszcze młodą, i dosyć nawet przystojną. Mieszkała we dworku kupionym na jéj imię przez wielkiego dygnitarza koronnego, którego miała być jakąś krewną, nie wiadomo—po mieczu, czy po kądzieli. O mężu swoim, ś. p. Strańskim, ani ona nigdy nic nie mówiła, ani ktokolwiek wiedział, co był za jeden. Pełnomocnik dygnitarza wypłacał jéj dosyć nieregularnie pensyą, która przy dworku, cale porządnym, starczyła na życie.

Pani Strańska zresztą była nadzwyczaj surowéj moralności osobą, niesłychanie pobożną, z pewną ostentacyą nawet, i nie czyniła wstydu dygnitarzowi, który się nią opiekował. Poświęcała się wychowaniu pięcioletniéj swéj Helusi, praktykom religijnym bardzo ostrym i cokolwieczek téż zbieraniu gawęd i plotek ulicznych, bez których trudnoż bo wyżyć cnotliwéj osobie, gdy sama z pola zszedłszy, nieprawości ludzkich zostanie spektatorką.

Powierzchowność pani Strańskiéj ze wszech miar była dystyngowaną.

Niemożna było powiedzieć, ażeby się stroić lubiła lub za modami nowemi ubiegała, jednak zawsze wychodziła tak do twarzy, pięknie przyodzianą, tak starannie przybraną, ufryzowaną, zakwefioną, że miło na nią było popatrzéć.

Twarz miała jeszcze bardzo piękną, choć się musiała zbliżać ku czterdziestce; właśnie rozkwitała tą drugą młodością niewieścią, która czasem ma niemal świeżość pierwszéj, a niebezpieczniejszą jest od niéj. Chodziła z oczyma spuszczonemi, z ustami usznurowanemi, drobnemi kroczkami, unikając wejrzeń śmiałych, stroniąc od mężczyzn; ale gdy wejrzenie jéj padło na którego z nich, parzyło, powiadali, jak ogień.

Dostąpić do niéj było nadzwyczaj trudno: młodzież próbowała, i nieudawało się jéj. Starsi duchowni, osoby poważne, niewiasty podżyłe: stanowiły jéj towarzystwo.

Jakaś choroba, na którą była zapadła, a którą Mellini nazywał, śmiejąc się, imaginacyą, zbliżyła starego eskulapa do miłéj jeszcze wdówki. Musiał z powodu choroby téj bywać u sąsiadki, a że nadzwyczaj dlań była uprzejmą, niemal nadskakującą, jak gdyby go za serce chwycić chciała, Mellini, mimo swego sceptycyzmu i nieosobliwych wyobrażeń o kobiétach, polubił pochlebnicę.

Najlepszą kawką i śmietanką z kożuszkiem, najsmaczniejszemi sucharkami go przyjmowała. Posyłała mu przysmaczki, i poznawszy w nim słabość tę, że jeść lubił,— karmiła go tak skutecznie, że w końcu przepadał za nią.

Być może, iż pani Strańska miała względem starego inne jeszcze projekta, okazywała mu bowiem czułość nadzwyczajną i upewniała, że starszych mężczyzn przenosiła nad młodych, zaręczała zarazem, że się jéj wydawał w saméj sile wieku. Patrzała nań czasami tak, że można ją było posądzić o czulszy sentyment dla łysego i opasłego Włocha. Mellini w tém dosyć smakował, ale daléj się nie posuwał, i podobno w ostatnich czasach dał wdowie do zrozumienia, że miałby za głupca człowieka, któryby się w jego wieku żenił.

Z tego powodu żwawą mieli kontrowersyą z sobą: Mellini się jednak nie dał przekonać. Przez dni kilka chłodno go traktowała wdowa, i na tém się skończyło. Wrócili do dawnéj konfidencyi. Dogadzało to doktorowi, że osobę tak przyjemną, pobożną, surowych zasad, miał dla towarzystwa Pepity; zdawało mu się bowiem, że ta odrobina zalotności, jaką jemu okazywała, była oczywiście tylko dla niego. Stary wiedział, że się przecież dowcipem swym mógł podobać, a po-

wierzchowność miał nie odrażającą. Że wdówka mogła chcieć się wydać za niego, nic w tém zdrożnego nie znajdował.

Pepita niemal codzień chodziła do sąsiadki, z dziecinną swą prostotą podzielała zabawy pięcioletniéj Helusi, a w rozmowach z panią Strańską czerpała wiele ciekawych wiadomości.

Wdowa, przy Mellinim nadzwyczaj ostrożna i nie wygadująca się, z przyjaciółką stawała się gadatliwą, i najczęściéj tak się składało, że mowa o mężczyznach była.

Pani Strańska zdawała się przejętą niebezpieczeństwy, jakie groziły pięknym twarzyczkom na świecie: opowiadała historye rozmaite budujące, a czasem tak się w nich plątała, że Pepita mogła sądzić, iż z własnego życia czerpała. Niejeden raz zamiast powiedzieć: — ten ją pocałował!—wyrwało się jéj:—a ten mnie pocałował. Ale natychmiast się poprawiała:—co ja gadam!

Niemniéj mnogie te opowiadania z życia przyjaciółek nosiły na sobie takie piętno prawdy, że Pepita myślała niekiedy: — ale czyżby ona mogła mieć tyle romansów!

Nie było to dla młodego dziewczęcia najlepsze towarzystwo, bo gdy się sam na sam zostały, a Helusię z lalką odprawiono do kąta, mówiono o zdradziectwach mężczyzn, o ponętach miłości, o rozmaitych szwankach istot niewinnych, co Pepicie dużo do myślenia dawało. Wprawdzie historya każda kończyła się morałem surowym, tylko że zakończenia te jak przyszyte i przyfastrzygowane niezręcznie wydawały się słuchającéj.

Każdego dnia regularnie pani Strańska udawała się do kościoła, i lubiła być w nim widzianą. Znano ją z gorliwości téj i była w wielkich łaskach u duchowieństwa. Procesya się żadna bez niéj nie obeszła, i nigdy przed zupełną konkluzyą nabożeństwa nie wysunęła się z kościoła. Nazywano pobożność jéj budującą.

W istocie tak się z nią urządzała, że biła w oczy. Umiała zdobyć pierwsze miejsce lub przynajmniéj najwydatniejsze. Chociaż miała i kościoły swe i kaplice i ołtarze uprzywilejowane, jednakże przy większych odpustach wszędzie jéj pełno było. Szczególnie zaś lubiła modlić się do relikwii dominikańskich, jak wiadomo, na cały świat sławnych. Tu ją zastać było najczęściéj można, nawet na nieszporach. Tu téż jednego wieczora, u święconéj wody na wychodném, spotkał ją jakiś młodzieniec, który modą zagraniczną, nietylko jéj ofiarował wodę, ale jéj przy wyjściu towarzyszył. Panicz był i całą gębą piękny

tak, ale tak, że surowa nader w zabieraniu znajomości pani Strańska uległa czarowi téj fizyognomii, nietylko go nie odstręczyła, a na zapytanie odpowiedziała, i wcale nieopatrznie dała mu z sobą zawiązać rozmowę. Była sama, w ulicy jakoś nie było nikogo, młodzieniec się jéj wydał ekstra-dystyngowany, a był nadzwyczaj przystojny.

Przystąpiwszy zrazu do wdówki z respektem i niby nieśmiało, w bardzo krótkim czasie zmienił ton ów nieznajomy. Przysunął się jéj do ucha i począł:

— Paniunciu, dobrodziejko najłaskawsza, jest tego nader pilna potrzeba, daj mi z sobą pomówić na osobności.

Oburzyła się i tonem i poufałością niezmiernie pani Strańska, najeżyła, nasrożyła, i miała już na ustach: a cóż to jest? czy coś podobnego, gdy młodzieniec jéj przerwał:

— *Panno* Balbino!

Jak piorunem rażona stanęła, zbladłszy mocno wdowa.

— Panno Balbino, ja Miecznika doskonale znam, historyą waszą wiem; bądźmy przyjaciołmi, bo mogę miéć język długi: będziemy przyjaciołmi, a będzie nam z tém obojgu dobrze.

Nikogo jakoś w ulicy nie było, młodzieniec bez ceremonii ją ujął wpół: wyrwała mu się zaraz, ale koniec końców poszedł z nią do jéj dworku. A że niewiadomo dlaczego ulicą iść do niego nie chciał czy on czy ona, poszli ogrodami i ścieżką z tyłu.

Młodzieniec ten, nie kto inny jak Wicek Szarzak, zwany wojewodzicem, przybywszy do dworku z panią Strańską, zamknął się z nią na konferencyą i siedział dwie godziny.

Gdy wyszedł, byli z sobą w jak najpiękniejszéj zgodzie, przed służącą go nazwała kuzynem, szeptali coś, śmieli się... i... nazajutrz odwiedziny w innéj porze się powtórzyły. Do zupełnego przyszli widać porozumienia, gdyż pani Strańska nawet odwiedziła, wracając z nabożeństwa, swojego kuzyna, mając mu coś ważnego do zakomunikowania.

Tegoż dnia wieczór, albo raczéj pod wieczór, Pepita była zaproszona na kawkę do przyjaciółki. Zaczęły z sobą zwykłą rozmowę o przeniewierstwach męzkich.

— A ja powiadam—wtrąciła w nią Strańska—że jak która z nas umié sobie radę dać, to niéma takiego mężczyzny, z którymby nie zrobiła co chciała. Jak Boga kocham, jak mamę kocham!

Strańska to zaklinanie się lubiła.

— Tylko na to jednéj rzeczy potrzeba—dodała—na co nieraz oczy moje patrzały. Żadnemu nie wierzyć, a choćby się go kochało, nigdy mu tego nie pokazywać!

Pepita słuchała. Nagle Strańska się obejrzawszy dokoła, przysiadła ku niéj.

— Serce moje, przyznaj ty się mnie, jak mamę kocham, nie wydam z sekretu; prawda, że tobie po główce chodzi ten śliczny chłopak coś to mu życie ocaliła?

Pepita się zarumieniła okrutnie i chciała zaprzeczyć.

— Już ty mi tego nie mów, ja się na tém znam; ty jak o nim wspomnisz, inaczéj ci oczy pobłyskują. A ja ci tylko powiem, że ja czuję, przeczuwam, jak mamę kocham, że ten wojewodzic za tobą szaleje.

Uśmiechnęła się figlarnie bardzo. Pepicie słów zabrakło, była pomieszana niezmiernie. Aby zrozumieć co nastąpiło, trzeba wiedzieć, że poufne rozmowy ścisłą i serdeczną przyjaźnią połączyły panią Strańską z Pepitą. Umiała ją sobie pozyskać. Miała całe jéj zaufanie: była pewną że dziewczę prawdę jéj powié.

W chwili jednak gdy to wyznanie miało się wyrwać z ust włoszki, zawstydziła się, sił jéj niestało, główkę ukryła w dłoniach.

— Ale czego się to wstydzić! czego? przedemną, przyjaciołką, co ciebie kocha nad życie: taić! To jest rzecz naturalna, że wy się kochacie, bo wyście dla siebie stworzeni.

Pepita się przelękła.

— A zkądże ty, Balbisiu, nieznając go, sądzić o tém możesz?

— No... tak... widzisz... przeczuwam—rzekła Strańska tajemniczo—a może ja coś i wiem, może ja, może ja go kiedy widziałam...

Dziewczę się zerwało i padło jéj na szyję z takim porywem gwałtownym, że wdowa aż się nieco zmieszała z kolei.

— Balbisiu! — zawołała Pepita odstępując nieco od niéj — nie budź we mnie téj miłości, któréj ja się sama boję. O! obraz tego człowieka, gdy tam leżał, a! jaki on był piękny... a ten pocałunek na mojém czole, za który się gniewam... pali mnie dotąd. On mi się śni... ty.....

I nie mogła dokończyć. Strańska poczęła ją tulić i ściskać.

— Ale to taka miłość niebaczna—dodała ciszéj Pepita—która musi marnie w mém sercu zginąć, wyjadłszy mi je. Wuj go niecier-

pi, a potém to jakiś wielki pan, i mówią wszyscy że wniwecz popsuty, pijak, burda!

— Co znowu! co znowu!—przerwała Strańska. Pijak! burda! a od czegóż młodość? a który z nich inny? ale to się potém tak zmienia że ani poznać. Położy łapki przed tobą, ani go będzie poznać. Co ma do tego że wielki pan? Jak go rozkochasz, to się ożeni!

Pepita usta jéj zatuliła. Tajemnie żywione uczucie, wzmożone nagle tym wybuchem przerażało ją.

— Nie mów—zawołała—nie zawracaj mi głowy! oszaleję. Po co mam się rozmarzać daremnie.

— Wcale nie daremnie—przerwała Strańska—tylko mnie słuchaj, a ja ci ręczę że będziesz go miała...

Pepita schwyciła ją za ręce, i z naiwnością dziecka, poczęła je całować.

— Balbisiu nie mów! oszaleję!

Strańska się rozśmiała.

— Jak ty mu to pokażesz odrazu że go tak kochasz, no! toś przepadła. On nad tobą, nie ty nad nim będziesz panować.

— Ale gdzież, jak ja mu to mogę pokazać, kiedy ja go już w życiu nie zobaczę może.

Wdowa się na chwilę zamyśliła, podeszła ku niéj i szepnęła:

— Przysiąż mi że wujowi ani słowa!

Pepita się zlękła trochę i zawahała. Kryć się przed tym dobrym wujem, który ją tak kochał, sumienie niedopuszczało; ale miłość biła w sercu tak gwałtowna. Włoska krew się w niéj odzywała. Opuściła główkę zadumana.

— Nie bój się—szepnęła Strańska—Mellini się późniéj na wszystko zgodzi, będzie rad, ale teraz on nic wiedziéć niepowinien.

Pepita oczy czarne na nią podniosła.

— Ty go znasz?

Strańska głową dała znak potwierdzający.

— On tu jest?....

— Dla ciebie tylko się tu został—szepnęła kusicielka. Głowę mu zawróciłaś, szaleje; na kolanach błaga aby się mógł widziéć i zbliżyć.

— A! nie! nie! to nie może byc!—zakrzyknęła Pepita—jest gwałtowny, napastliwy... Ja go kocham, ale ja się go boję.

— Przecież ja na krok od was nie odstąpię—dodała Strańska.

Nastąpiło milczenie, Włoszka rzuciła się na szyję przyjaciółce, objęła ją rękami i nic nie mówiąc okrywała pocałunkami.

Zaczęły pocichu szeptać z sobą. Pepita zasiedziała się u niéj tak długo dnia tego, że Gawłowska po nią przyjść musiała, przypominając wieczerzę. Rozstały się szepcząc jeszcze i Pepita dwa razy z sieni wracała.

Doktor, który już u stołu siedział, zdziwił się, widząc wchodzącą siostrzenicę jakąś pomieszaną, z wypieczonemi rumieńcami na twarzy. Zapewniła go Pepita, że się tak z Helunią bawiły. Niestety! już kłamać musiała, a myśl o tém zalała jéj twarz nowym rumieńcem.

Mellini był w wybornym humorze, dopytywał się o wdowę, żartował z niéj trochę: siostrzenica milczała.

Rola Strańskiéj, do któréj groźbą niepoczciwego Wicka została zmuszoną, nie bardzo jéj była na rękę, w chwili gdy właśnie inną odegrywała. Obawiała się jéj skutków, lecz zawczasu ważąc wszystko, spodziewała się swe pośrednictwo w téj sprawie zatrzéć i zataić. Daléj, zdawało się jéj, że gdy Mellini zagniewany na wychowankę, osamotniony pozostanie, któż wié, czy się nie da uwikłać i związać stułą?

Mówiła więc sobie, że byle rozumnie, może wyjść wcale dobrze na swém przyjacielskiém dopomaganiu dwom sercom rozgorzałym. Następstwa dalsze niewiele ją obchodziły. Jeśli mogła pewna panna Balbina być przez pana miecznika skompromitowaną, dlaczegóżby jakaś tam Włoszka lepszą od niéj być miała? Jak wszystkie upadłe istoty, znajdowała w tém niemal przyjemność, że inne jéj los dzieliły. Ze względu jednak na Melliniego potrzeba było nadzwyczajnéj ostrożności. Starzec chwilami był przenikliwy, niedowierzający, a Pepita, dziecko nieostrożne. Ale miłość tak rychło kłamać uczy!

Po wyjściu Włoszki, Strańska długo rozmyślała i uspokojona poszła zasnąć, kazawszy się nazajutrz tak obudzić, aby na prymaryą do Dominikanów trafiła.

Jakoż nim ksiądz wyszedł i zasygnowano, już była w ławce.

Wicuś stał pod ścianą i czekał, zeszli się w progu kruchty.

— A co? najsłodsza dobrodziejko moja, mój ty pączku z konfiturami słodyczy pełny!—zapytał wisusowato się do niéj garnąc wojewodzic.

— Jak się waćpanu zda?

— Z oczów ci patrzy, żeś dokazała!

Kiwnęła głową.

— Nie wprzódy, jak o mroku i to od ogrodów.

Zbliżyła się do niego.

— Tylko proszę nie straszyć jéj i mitygować się.

Pogroziła paluszkiem tłustym.

— U waćpana w sercu prawdziwéj miłości ani za grosz, tylko rozpusta, a to dziewczę jak łza! to aniołek!

Westchnęła.

— Ja kłamać ci nie będę—zawołał śmiejąc się wojewodzic—moja miłość nie jest czysta, ale zato dyabelnie gorąca... Już to trudno, kochana Balbisiu, każdy tylko tém służyć może, co ma.

Wachlarzykiem, przy którym wisiał różaniec, p. Strańska klapsa mu dała.

— Paskudnik!—szepnęła.

Wojewodzic wąsa pokręcił.

Poszli małą uliczką razem kroków kilkanaście i Wicek się zawrócił biegiem do domu.

Wieczorem nim mrok padł, już Wicek siedział w pokoju sypialnym pani Strańskiéj, gdyż obawiała się niespodzianego najścia doktora, który czasem i wieczór do niéj zachodził.

Pepity długo nie było. W chwili stanowczéj zabrakło jéj męztwa, przelękła się, chciała się cofnąć; potém przemówiło serce; obraz téj twarzy zbolałéj stanął przed jéj oczyma, żal się jéj zrobiło rojonego szczęścia, choć przeczuwała, że je drogo opłacić może: rzuciła się biegiem prawie ku dworkowi Strańskiéj.

O niewiele chodziło, że uratowaną być mogła. Właśnie gdy tylnémi drzwiami wpadła do dworku, od ulicy wchodził doń doktor. Strańska, oczekująca na nią w saloniku, ujrzała razem z jednéj strony z wesołą miną wsuwającego się doktora, z drugiéj strwożoną Pepitę.

Przestraszyła się mocno i zagadała głośno, lękając się, żeby wojewodzic nie wypadł ze swéj kryjówki; głos donośny a wesoły doktora jakoś go wstrzymał. Pepita, napół omdlała, padła na krzesło.

Mellini powracał z miasta. Zagaił rozmowę, usiadłszy, o deszczu i pogodzie; potém o burmistrzu, który nogę był złamał: naostatek ni z tego ni z owego, o owym nicponiu, łotrze, którego z ran wyleczył, a który się po mieście dotąd włóczył i ludziom uszy obcinał. Słuchający podedrzwiami wojewodzic, kłaniał się za niémi doktorowi, ironicznie przyjmując dawane sobie pochwały. Przepowiadał potém Melli-

ni, że się zuchwalec doigra wreszcie, że go drugi raz palestranci naprawdę dobiją.

Wojewodzic pokiwał na to głową. Nie obchodziło go wiele, że doktor się o nim tak złośliwie wyrażał; niecierpliwił się, że zadługo siedział.

Pepita czerwieniła się, słuchając, i międła chusteczkę w rękach, wdowa pokaszliwała, aby głosu Melliniego nie dopuścić do uszu ukrytego wojewodzica. Jakby na złość doktor zasiedział się dłużéj niż zwykle, nareszcie za laskę wziąwszy pożegnał gospodynią, zalecając siostrzenicy, aby i ona nie bawiąc, wracała do domu.

Mamyż opisywać scenę, która nastąpiła po wyjściu doktora?

Wedle umowy, wojewodzic powinien był pozostać w gabinecie aż mu otworzą i wezwą go; ale nie wytrzymał i nie posłuchał, wyrwał się natychmiast, biegnąc do przestraszonéj Pepity.

Pierwszy, ów gwałtem wzięty pocałunek, mógł już dać miarę, jak się gorączkowy młodzieniec będzie z ukochaną obchodził. Miłość to była wojewodzica dla mieszczanki, przybrała więc ówczesne formy poufałe i napastliwe; ale na pierwszym kroku piękna Włoszka odtrąciła natręta i zmusiła go do przyzwoitszego zachowania się z sobą. Pogroziła, że ani chwili nie zostanie dłużéj, stała się dumną i gniewną prawie: piękny Wicek musiał się stać polityczniejszym nieco. Pomimo to i ręce gwałtem pocałunkami okrywał i przysiadał się zbyt blizko i odrazu tak poufale ją zwał swą najdroższą Pepi, że mu się trudno było obronić. Włoszka była seryo i prawie łzawa, on wesół i roztrzepany. Nim się do pewnéj harmonii jakiéjś nastroili, upłynęło pół godziny. Pepita wstała i zapowiedziała, że odchodzić musi. Napróżno było błaganie. Na stronie zaś na ucho oświadczyła wdowie, że nazajutrz nie przyjdzie, jeżeli wojewodzic słowa nie da, że będzie przyzwoitszym.

Wicek słowo dawał na wszystko, czego po nim wymagano, z mocném postanowieniem niedotrzymywania.

Przypomniéć sobie trzeba, że to była chwila tak dziwnego obyczaju, iż w salonie wojewodzicowéj Mścisławskiéj, matki księcia, francuz Mehèe, widział młodego generała nieznajome panie całującego publicznie w ramiona. Młodzież bujna, do któréj należał właśnie wojewodzie, pozwalała sobie nad miarę. Nie mógł więc pojąć zepsuty Wicek, ażeby to, co w salonach uchodziło, w dworku miało być mu wzbronioném.

Po wyjściu ślicznéj Pepity, nagrodził sobie zuchwałém obejściem

się z wdówką, która wprawdzie krzyczała zcicha, ale za złe, poufałości, ładnego chłopca nie brała.

— Niech sobie to pan wojewodzic powie—odezwała się w końcu— że to jest pieszczone dziecko, które wymaga, ażeby padać przed niém i szanować je! Pan tu tak obcesowo nic nie wskórasz....

— Rozumiem—rzekł Wicek—potrzeba chytrości węża, zawracania oczów, westchnień, słów jedwabnych: no! to i to potrafię, bo szalenie ją kocham!...

To mówiąc pocałował wdowę, która krzyknęła i rozśmiała się i wybiegł.

O kilkanaście kroków od dworku spotkał jednego z tych sześciu, którym dał naukę, stojącego jakby na posterunku.

Był to niejaki Pusterski, urwisa kawał, który dostawszy od wojewodzica tęgie płazy, chociaż mu palec na palec założywszy przysięgał, że on go nie rąbał, przywiązał się dziwnym sposobem do niego.

Zbity i złajany przeprosił wojewodzica, pocałował go w rękę i prosił tylko o pozwolenie, aby mógł mu służyć i dowieść, jak go weneruje. Wicek, jak wszyscy ludzie jego temperamentu, lubiał się otaczać takiemi służkami. Poił go, drwił z niego, posyłał, posługiwał się nim, dawał mu czerpać z swojéj kieszeni, a gdy był sam, tęsknił za tym cieniem, do którego przywykł, że się za nim wszędzie włóczył. Spostrzegłszy go wojewodzic uśmiechnął się i pomyślał, że ani pudel nie mógłby służyć mu wierniéj. Poszli tedy razem do miasta.

Pusterski nie ważył się nigdy iść obok wojewodzica, towarzyszył mu z lewéj strony, o pół kroku idąc za nim, słuchając, śmiejąc się i potakując.

— Słuchaj ty trutniu! Pusterko!—rzekł mu Wicek—kiedy ja tu chodzę, na Winiary, nie potrzebujesz mi następować na pięty! rozumiesz! Zobaczy cię kto że tu stoisz i czekasz, a widują cię ze mną, zaraz zwąchają, że ja tu téż być muszę.

— A! prawda!—odezwał się Pusterski—jak Boga kocham. A pan nie chce, żeby ludzie wiedzieli, że do téj dewotki chodzi!

Zaczął poprychiwać.

— Tę Strańską, proszę jaśnie wojewodzica, to tu caluśkie miasto zna, a myślą wszyscy, że do niéj ani się zbliżyć, tak świętościami obłożona, a tu! cha! cha!...

— Nie pléćże i ty! a gębę stul!—dodał Wicek.

— E! to się rozumie! tylko ja to sobie myślę, komu tu już na świecie wierzyć!—rzekł Pusterski.

Wojewodzic go klasnął po ramieniu, aż się ugiął, zaświstał.... poszli daléj.

Pepita wróciła do wuja, pomimo całéj mocy nad sobą, nie mogąc po widzeniu się z wojewodzicem ochłonąć jeszcze. Znalazła go innym niż chciała. Było w nim, jakby dwu ludzi: jeden, który jéj był nad wyraz wszelki miłym i drogim, ten, którego widziała raz pierwszy, wpół umarłym i jakiś drugi, który ją przerażał i niemal się stał wstrętnym. Z tych dwu, który miał zwyciężyć? który był prawdziwym, a który kłamliwym? pytała sama siebie i odpowiedziéć nie mogła.

Gdy po chwilce spoczynku w swoim pokoiku, po staranném przejrzeniu się w lusterku, wyszła Pepita do wieczerzy, doktor nawykły czytać w jéj twarzyczce, znalazł na niéj ślady przejścia jakiegoś gwałtownego wzruszenia, choć się starała być spokojną.

— Ta twoja przyjaciółka Strańska—odezwał się popatrzywszy na siostrzenicę - choć niby kobiecisko dobre, ale koniec końców, ona ci musi nie wiedziéć czém głowę zawracać, bo to taka święta prawda, co mówi nasza poczciwa mądrość narodowa: *Le donne son sante in chiesa, angele in strada, diavolo in casa, civelle alla finestra, e gazze alla porta* (kobiety są w kościele święte, na ulicy anioły, w domu szatany, w oknie sowy, a na progu sroczki).

Machnął ręką.

— Ile razy wracasz od Strańskiéj, zawsze masz trochę gorączki.

— Ja! co to się wujowi przewiduje!

— Doktorowi się nie może przewidywać. Albo się nadto męczysz z jéj swawolną Helusią, albo ci ona androny prawi!

— Czyż mi się już zabawić nie godzi?—szepnęła Pepita.

— A! dziecko moje? baw się pókiś młoda—zawołał doktor— baw się, szaléj, byle po dziecinnemu, i lepiéj z Helusią niż z jéj matką. Strańska poczciwa kobiéta, *ma gazza* (ale sroka) nietylko we drzwiach, ale i za drzwiami. Może ci głupstwami głowę nabiła...

Spojrzał na rumieniącą się i pożałowawszy wnet surowości swéj i podejrzeń, ucałował odwracając rozmowę.

Dziwna przenikliwość wuja smutkiem oblała twarz Pepity, ulękła się tych oczów, które jéj aż do głębi duszy zaglądały.

VII.

Pan Pusterski był rodzajem dependenta przy sławnym w owe czasy, nie tylko w Lublinie, ale i w stolicy mecenasie, prawniku, pełnomocniku wielu magnatów, przyjacielu niektórych, panu Hermanie z Daliborza Daliborskim.

Daliborski właściwie mecenasem nie był, ale więcéj niż nim, i wszyscy, starzy nawet wielce go szanowali. Kim był w istocie, trudno się da określić: podobnych ludzi dziś już niéma; rodziła ich epoka i stosunki, z nią razem i z niemi znikli. Typ to był właściwy końcowi XVIII wieku. A najprzód omyliłby się, ktoby go sobie wystawiał podobnym do jednego z tych jurystów, których wizerunek nam zostawił ołówek Norblina.

Pan Herman z Daliborza Daliborski był młodzieńcem (miał zaledwie lat trzydzieści kilka) najlepszego towarzystwa, przyjmowanym poufale w najpierwszych domach, dobrze widzianym i znanym na dworze, przyjacielem wielu królewskich sekretarzy i szambelanów. Książę Ghighiotti kochał go i protegował, lubił go Trembecki, całował w twarz Węgierski, najlepsze stosunki łączyły go z generałem Komarzewskim, z Kickim. Bywał na pokojach u pani Krakowskiéj, przyjaźnił się z wojewodą Mokronowskim, w stolicy miał stosunki rozliczne i ogromne.

Spojrzawszy nań, niktby w nim człowieka do interesów nie domyślał się: elegant był po swojemu, w mieście jeździł karetą, dawał obiady, wieczory z baryłkami ostryg, pił z hetmanem kto lepiéj, strzelał z pistoletu wyśmienicie i najdzikszego konia dosiadał.

W rozmowie jego głośnéj słowa nigdy o interesach nie było, ale o kobiétach, zabawach, przejażdżkach, grze i ucztach.

Tymczasem w trybunale bez Daliborskiego nikt nie stąpił. Trzeba było pozyskać prezesa deputatów, potajemnie rejestr podpę-

dzić lub ociągnąć, przez nikogo się to nie dało zrobić, tylko przez niego. Robił albo darmo dla przyjaźni, albo za grube pieniądze, których nigdy nie brał dla siebie. Na migi pokazywał że wszędzie coś musiał wtykać.

Człowiek był dowcipny, najmilszy w świecie, zawsze wesół, zdający się wiecznie próżnować, w ciągłych przejazdach, lataninie, na stu miejscach jednego dnia nie znużony. Czasem grywał faraona do czwartéj rano, gdy o dziesiątéj miał w sprawie główném przed kratkami stawać.

Nie było prawie praktyki ażeby się Daliborskiemu co nie powiodło. Cisnęli się téż doń wszyscy, a kto go miał, mógł spać spokojnie. Zkąd ten geniusz uniwersalny, który wszystko umiał i znał się na wszystkiém, wyszedł, gdzie się uczył, dochodziły o tém głuche podania, pewności nie było. Daliborski nie mówił o swéj przeszłości, zdawał się ją chcieć zataić.

Na ucho szeptano że był dzieckiem naturalném jednego z dostojników wielkich, męża znaczenia niezmiernego w Rzplitéj, jednego z najrozumniejszych ludzi w kraju, który mu dał wychowanie i wyprowadził go w świat. W istocie bardzo młodo miał sobie powierzone interesa księcia kanclerza, ale to nic nie dowodziło, i plotka mogła być bajką.

Ów Daliborz z którego się pisał Daliborski był maleńką wioszczyną na Podlasiu, z któréj wyżyć nawet ubogiemu szlachetce byłoby trudno. O rodzicach głucho było zupełnie. Zjawił się w Lublinie z silną protekcyą, a z nierównie większą zręcznością; w przeciągu roku potrafił się wśrubować wszędzie, a lat kilka starczyły mu do zajęcia stanowiska przeważnego.

Wszystkich starych w kąt zapędził. Służyli mu, kłaniali się, radzili; pomagał chętnie, ale wrazie potrzeby trzeba téż było być na jego rozkazy.

Przed kratkami miał Daliborski wymowę łatwą, świetną, porywającą. Gdy się odezwać zapowiedział, tłumnie cisnął się do sali kto mógł. Mecenasi między sobą, pocichu, krytykowali jego znajomość prawa niedostateczną, wykręty niezręczne, pewne *lapsus linguae*, które mu się trafiały; ale, mimo to, słuchając go, czuli się zachwyceni: przekonywał, głuszył, podbijał. Więcéj w tém było zręczności niż nauki i logiki, więcéj może kuglarstwa i komedyi niż wymowy poważ-

néj, ale to cudownie skutkowało. Replika jego gruchotała nieprzyjaciela i ścierała na miazgę.

Daliborski mówił tylko w ekstraordynaryjnych wypadkach, kosztowało go to; nie lubił stawać: polem jego było potajemne krzątanie się około interesu. Sprawa około któréj chodził, była wygraną nim przyszła przed kratki: dekret miał zawsze przed terminem w kieszeni.

Zresztą choć czasu sądów przesiadywał przy trybunale, pole jego działalności daleko się szerzéj rozciągało; tu zdawał się być tylko dlatego, aby z ludźmi spotkać łatwiéj.

Niekoniecznie prawne spory go same zabawiały: sprzedawał i kupował majątki, frymark dobrami prowadził na wielką skalę.

W potrzebie traktował o ustąpienie urzędów, o zrzeczenie się starostw, o kupno stopni w regimentach, nawet o order świętego Stanisława...

Nie był obcy rozwodom i podejmował się ich w Rzymie i w konsystorzach; kleił małżeństwa, godził rodziny, niekiedy je waśnił. Słowem, człowiek był do wszystkiego.

Najdziwniejszém zaś było to, że w kraju na kilka stronnictw politycznych i familijnych rozdzielonym namiętnie, on był ze wszystkiemi dobrze, nie źle, znośnie, wyśmienicie, doskonale, jako tako. Z nikim i nigdy na noże. Miał wstęp wszędzie, a gdzie go nie zyskał jeszcze, jutro się wcisnął: ktoś go podparł, ktoś wprowadził.

Nie można było wejść do salonu wielkiemi wschodami, umiał znaleźć ciemne schodki, i przedpokój lub buduar.

Zapomnieliśmy niemal na to główną zwrócić uwagę, że był bardzo pięknym mężczyzną, i że głównie przez kobiéty robił interesa.

W salonach ówczesnych jednego wieczora czasem widzieć go było można u księżnéj marszałkowéj, u wojewodzicowéj mścisławskiéj, u Czartoryskich, u Tomatysów, u Teppera, u pani Krakowskiéj i u kasztelanowéj Kamińskiéj: księżna Dessau miała słabość do niego.

Mówiono że Ryx do króla puszczał, gdy sala audyencyonalna była pełna oczekujących, przez garderobę.

Żadna ważniejsza sprawa nie odegrała się bez niego, w każdéj umoczył rękę, ale w wielu tak, że nikt go tam ani widział, ani odgadł.

Więcéj mu może chodziło aby być na wielkim świecie dobrze widzianym i traktowanym na stopie przyjacielskiéj, niż o reputacyą prawnika.

Godzili się wszyscy że był najmilszy, najlepszy, ale co do zasad jego i surowéj cnoty, o tém milczano. Człowiek co tylu panom do tylu spraw służyć był zmuszony, zbyt surowych zasad mieć nie mógł. To pewna że przyjmował do wyrobku najbrzydsze interesa i umiał wynaleźć stronę jakąś, z któréj się one wydawały usprawiedliwione. Charakterystyczném i to było, że dla ubogich i maluczkich, brudnych sprawby się nigdy nie podjął i w ogóle lada z kim się wdawać nie lubił; to zaś co z kół magnackich i arystokratycznych płynęło, przez samo swe źródło było oczyszczoném. Brał z zamkniętemi oczyma. Z powierzchowności mecenas, któremu dawano tytuł starosty, otrzymał był bowiem jakiś kawałek ziemi, do którego ta kwalifikacya przyczepić się dała, z powierzchowności był imponująco pięknym. Słusznego wzrostu, nadzwyczaj kształtnéj ciała budowy, twarzy rysów arystokratycznych, ruchów nieco wyszukanych lecz pełnych dystynkcyi, w salonie miał minę wielkiego pana. Ubierał się tylko oryginalnie. Nosił niby jeszcze strój polski, ale jakby w stanie przejścia do nowomodnego... Przy kontuszu i żupanie, który już na kamizelkę długą zakrawał, kładł modny ówczesny muślinowy ogromny krawat, grubo około szyi obwiązany. Na głowę nie wdział jeszcze peruki, ale miał włosy w tył zaczesane i zebrane z tyłu w woreczek związany wstęgą. W ręku nosił zwykle laskę grubą i krótką, jakiéj używali eleganci. Na palcach mnóstwo miał pierścieni, a zegarek na modnym brylantowym łańcuszku. Wszystkie części tego stroju pół-francuzkiego były nadzwyczaj wytworne, pięknie zrobione i z kosztownego materyału.

Z twarzy jego mądryby był ktoby co wyczytał. Śmiała się jednostajną uprzejmością dla wszystkich, nawet dla tych, których najbardziéj nienawidził. Było w niéj coś zimno-dumnego, każącego się domyślać, iż ludzi w ogóle niewiele sobie ważył.

Takt w obejściu się z niemi miał przedziwny. Dosyć mu było pół godziny, aby zbadać z kim miał do czynienia, i umieć sobie z nim tak radzić, aby go prowadzić jak na pasku.

Już w chwili gdy się to opowiadanie poczyna, miano pana starostę Daliborskiego za bardzo majętnego człowieka, chociaż nie miał nic widocznego, oprócz téj lichéj wiosczyny Daliborza; wnosząc jednak z życia wystawnego, można się było dochodów wielkich domyślać.

Nie jeździł w podróż bez dwu powozów, lokaja, kucharza i wyrostka. W Lublinie miał całe piętro domu naprzeciw trybunału, konie i karetę. Niekiedy zapraszał po pięćdziesiąt osób. Zbytek był

ogromny, gra straszna. W kancellaryi pracowało najmniéj trzech skrybentów i sekretarz jegomości, stary, milczący, szaraczkowo ubrany, posłuszny, sam przez się kroku nie mogący stąpić, Małdrzykowski.

Jednym z tych, co wisieli w kancellaryi, był Pusterski; ale żeby wiele pisał i pracował, nie można było powiedzieć. Miał zawsze jakieś zlecenia w mieście: nosił raporty, chodził gdzieś i rozkazy od pana odbierał we cztery oczy.

Trzeba było tak zręcznego mistrza, żeby z tak niebezpieczném narzędziem, bez uszkodzenia, dać sobie radę. Pusterski pił, grał, łajdaczył, i pomiędzy swoimi uchodził za ostatniego nicponia. Widać jednak, że to, do czego używanym był, właśnie takiego wymagało instrumentu; bo Daliborski był z niego kontent, i nieźle mu się działo. W kancelaryi go niecierpiano: on sobie z tego drwił.

Blady, ospowaty, z oczyma, których powieki zawsze były poobwodzone czerwono, bez zarostu na twarzy, z włosami konopiatemi i prostemi jak druty, chudy, drągalowaty, patrzący zawsze z ukosa, Pusterski miał układ lisowaty, pokorny, trzymał się nieco przygarbiony, i zdawał się wiecznie obawiać czegoś, bo się ciągle mieszał i kulił.

Lada zamachnięcie ręką napełniało go trwogą, jakby dla niego było przeznaczone; ale gdy się upił, burdy wszczynał wściekłe, jakby swe tchórzostwo trzeźwe chciał ludziom z pamięci wybić.

Od godziny już siedział Pusterski w kancelaryi za stołem, towarzysze jego pisali, stary Małdrzykowski przy oknie coś czytał, a przybyły dependent, niemając co robić, po studencku coś wyrzynał na pamiątkę scyzorykiem na stole, gdy jak wicher wpadł Daliborski... Twarz miał zarumienioną, oczy błyszczące, usta jeszcze drgające: czy od śmiechu, czy od gadania...

Oczyma rzucił po izbie. Małdrzykowski z ukłonem szedł już ku niemu. Skrybenci żywo bardzo smarowali po papierze. Pusterski wstał, ręką zakrywając na stole wyrzeźbioną literę.

— A! Pusterski! ja cię kilka dni nie widziałem!—zawołał starosta.—Chodź sam tu!

Wolnym krokiem zbliżał się powołany. Tymczasem zniżonym głosem szybko bardzo począł dawać Małdrzykowskiemu rozkazy pan starosta, i skinąwszy na Pusterskiego aby za nim szedł, opuścił kancelaryą.

Przez korytarz tylko był pokój, jeden z tych, w których Daliborski klientów przyjmował. Stanęli tu. Odwrócił się mecenas do skrybenta.

— Cóżeś robił?

— A co jaśnie pan starosta przykazał.

— Masz co do powiedzenia?

— Jużci się znajdzie.

Poszli razem do okna, aby ich u drzwi nie podsłuchano. Pusterski cichym głosem począł:

— Jak się wylizał, proszę jaśnie starosty!

— Toś już mówił.

— Ale ja nie o tém powiem co dawniéj. Był książę generał...

— Wiem.

— Ciągle z sobą chodzili cały czas. U doktora jakąś awanturę zrobili, bo doktor ze swoją panną z domu uciekł, i nie wrócił aż nazajutrz. Książę pojechał, a on się został. Pieniędzy mu Fajwel dał na skrypt księcia.

Mecenas głową pokiwał.

— No, cóż więcéj?

— A teraz bałamuci wdowę tę, co pan wié, co ona nie wdowa, tylko co pana miecznika....

Rozśmiał się pogardliwie Daliborski i popatrzał na raportującego, który głowę i oczy spuścił.

— To nie może być — odezwał się żywo — tam innego coś być musi. Tyś ślepy.

Pusterski usta otworzył.

— No, to się okaże—szepnął.

— Ma pieniądze?—spytał mecenas.

— Jeszcze tam coś jest; ano, widać że na coś mu potrzebne, bo chowa i skąpi, nie tak jak bywało.

Tu przerwawszy sobie mowę, dotknięty zarzutem ślepoty, Pusterski odezwał się:

— Kiedy ja go widziałem, jak się z wdową u Dominikanów schodzili. Raz ją przeprowadzał uliczką, a ja za słupem stał. To ją schwycił wpół i plasnął, aż krzyknęła.

Mecenas się śmiał słuchając.

— To niéma nic—rzekł—tam się musi co innego święcić. Dawno on tam chodzi?

Pusterski dnie wyliczył.

— Pilnuj-że mi go i z oka nie spuszczaj — dodał patrząc na zegarek mecenas.—Śledź, patrz, a jeśli co będzie ciekawego, zaraz mi przynoś.

— Słucham jaśnie starosty.

Daliborski chciał odchodzić, gdy Pusterski zamruczał:

— Ale u mnie już i dydka niéma.

— Aj! ty! ty! więcéj zjész i przepijesz niż przyniesiesz!—zamruczał rzucając mu talara Daliborski.—Idź mi zaraz!

Nie zachodząc już nawet do kancelaryi dla pożegnania się z kolegami, dependent z korytarza wprost puścił się na ulicę i znikł. Piszący zobaczyli go wybiegającego i coś szeptać zaczęli między sobą.

Upłynęło dni parę, a Pusterski się nie pokazywał wcale.

Jednego dnia, gdy mecenas był w gabinecie zajęty z trzema nowo przybyłemi panami, cichym szeptem o jakimś zapewne bardzo ważnym interesie, bo mu każdy z nich w końcu rulon dukatów na stole położył, służący wszedł do gabinetu, niosąc na talerzu kartę.

Był to pachnący stolicą wizytowy bilet, wkoło otoczony niebieską z kwiatów i wstęg girlandą, na którym stało wydrukowane nazwisko. Z drugiéj jego strony bujnym charakterem niewieścim kilka słów dopisano.

Obejrzawszy kartę, uśmiechnął się mecenas, schował ją do kieszeni, i powiedział służącemu:

— Natychmiast tam się stawię.

Usłyszawszy to, szlachta poczęła ściskać go i żegnać, zalecając mu sprawę.

— Proszę być spokojnym, kochany rotmistrzu; niech pan starosta ufa mi, pan strukczaszy zawierzy! Wszystko będzie dobrze!

— Co daj Boże, amen!—rozśmiał się najstarszy.

Mecenas odprowadził ich aż do sieni; wrócił po rulony, które we właściwém im schronieniu w biurku ulokował, i zabrał się wychodzić z domu.

Pora była poobiednia i zachód słońca blizko, czas piękny, i zapewne dlatego Daliborski wybrał się z domu pieszo. Każdemu innemu uszłoby to, ale jemu ulica była niebezpieczną. Chwytano go co chwila po drodze, różnego stanu ludzie napastowali i zatrzymywali. Wysiadano z powozów, porywano pod ręce: Daliborski ledwie się mógł pozbyć natrętów.

Straciwszy dużo czasu, znalazł się wreszcie za kościołkiem Ś-go Ducha w gospodzie, na któréj progu stał służący w liberyi, jakby go na czatach umieszczono. Znikł zaraz zobaczywszy mecenasa.

Wrota gospody były zamknięte: w środku stały ekwipaże pańskie i cicho kręciła się służba. Z jednych drzwi wybiegła zręczna subretka i z uśmiechem wprowadziła Daiiborskiego do gościnnych pokojów.

W pierwszym z nich nie było nikogo, tłomoki tylko, węzełki i owe mnóstwo paczek, torebek, szkatułeczek, które pięknym paniom zwykły towarzyszyć w podróży.

Subretka wskazała na drzwi pół-otwarte do drugiego pokoju.

Daliborski przybrawszy postawę jeszcze bardziéj salonową, popatrzywszy na swe ubranie, musnąwszy się po głowie, wszedł.

Na kanapie za stołem wpół leżała, wpół siedziała młoda i bardzo piękna kobiéta, ubrana po podróżnemu, ale wytwornie i ze staraniem modnisi i elegantki.

Była to brunetka z oczyma szafirowemi, przymrużonemi sentymentalnie, choć cała twarzyczka jéj uderzała wyrazem ostrym, przykrym, strasznym jakimś. Piękność to była, któréj najwybredniejszy znawca niewieścich wdzięków nie mógł nic ująć, ani jéj zaprzeczyć; piękność tak regularnych rysów, tak harmonijnie stworzona przez naturę, że w niéj najmniejszy dysonans nie raził. Lecz szczodra natura obdarzając nią tę kobiétę, zapomniała o tém, co sympatyą wzbudzić mogło; fizyognomia ta, przynajmniej w chwili gdy mecenas wchodził, była przerażająca jakby tajonemi gniewy do całego świata, jakby bolami tajemnemi.

Dlatego może maseczka ta gniewna mrużyła oczy i usta skrzywiła do uśmiechu rezygnacyi.

Daliborski zbliżał się z uszanowaniem wielkiém, ona niecierpliwie poprawiała coś w ubraniu. Wyciągnęła piękną, białą, trochę tylko chudą rączkę, okrytą mnóstwem pierścieni, ku podchodzącemu, i szepnęła głosem pieszczonym, jakby dziecinnym:

— *Cher Staroste!*

— Jakże się ma pani wojewodzina? To prawdziwa dla mnie i szczęśliwa nad wyraz siurpryza.

Oczy z wyrazem omdlenia jakiegoś zwróciły się ku mecenasowi.

— Siadaj—rzekła wskazując krzesło.—Jestem tu przypadkiem, jadę do Warszawy, na sejm. Wojewoda mnie poprzedził... Chciałam cię zobaczyć.

Cię poufałe było wyszepnięte bardzo cicho, ale musiało bardzo uszczęśliwić mecenasa, bo pochwycił nanowo rączkę pierścieniami okrytą i gorąco ją całować zaczął, aż mu ją wyrwać musiano.

Wojewodzina znowu napół się położyła na kanapce, sparła na rączce i główkę podniosła ku Daliborskiemu, wlepiając w niego wejrzenie tęskne, jakby niém badać chciała człowieka.

— Nic mi nie powiesz?—szepnęła.

— Ważnego, nic—odparł cicho mecenas.—Stare dzieje zawsze.

— Jest tu?

— Jest i prowadzi życie zwykłe. O mało, mało nie zostaliśmy od niego uwolnieni. Przypuśćmy, że to był przypadek—dodał z pół uśmiechem mecenas—ale trafiło się, że u winiarza było kilku rębaczy, z którymi się zwaśnił. Posiekali go tak, że za umarłego go porzucili, ale, nieszczęściem trafiła się córka doktora, która go zobaczyła i krzyknęła, a doktór co go wyleczył!

Wojewodzina załamała ręce.

— Szalone szczęście!—szepnęła.—A, póki ten człowiek na świecie, ja ani pokoju, ani szczęścia mieć nie mogę! Znasz historyą moję... wiész....

Tu słów zabrakło, spuściła oczy.

— Między nim a mną, walka o śmierć lub życie...

Poruszona wielce, mówić nie mogła. Mecenas ze współczuciem w milczeniu czekał na słowo.

— Niéma potwarzy, którąby się nie mścił nademną—dodała—wiesz... To fałsz... Musiałam wyjść za jego ojca, matka moja wymagała tego, interesa jéj. Poświęciłam się dla niéj.

Uczynił mnie poczwarą jakąś! To zbrodniarz...

— Niechże się pani nie irytuje—wtrącił mecenas.

— Wspomnieć nie mogę o nim żeby się żółć nie zburzyła we mnie, dokończyła wojewodzina.

Zamilkła znów na chwilę.

— Potrafiłam się go pozbyć z domu, tak! przekonałam starego że tę żmiję odtrącić powinien. Usłuchał mnie: wyrzekł się go... Zdawało się wszystko skończoném... A! nic! nic, słaby, zniewieścia-

ły, bez charakteru, tęskni za nim, płacze po nim, choć się z temi łzami kryje... A pozbyć się go raz niepodobna!

— Trochę cierpliwości—począł ręki znowu szukając, którą mu wyciągniono, Daliborski, i przyciskając ją do ust—trochę cierpliwości. On się sam zgubi; niepotrzeba nawet szukać środków.

— Ale ja w téj trwodze ciągłéj żyć nie mogę—zawoła kobieta—zbliżenie się jego do ojca, grozi mi...

Spuściła oczy.

— Ojciec tęskni po nim. Jeśli się znowu spotkają, ja, ja jestem zgubiona!

I twarz zakryła rękami.

— Ta potwora gotowa znaleźć na mnie, nie dowody, bo ich niéma, ale potwarze... Ja nie wiem.

Nagle wstała rzucając ten ton rozpaczliwy, spojrzała ostro na Daliborskiego, chwyciła go za rękę.

— Ty to możesz jeden uczynić, aby go z serca ojca na zawsze wytrącić; ty, ja ufam...

Sparła się znowu na łokciu w melancholicznéj postawie i zadumała.

— Posłuchaj mnie—rzekła—ojciec się go wyparł, wydziedziczył... Uczynił to w świecie najsprawiedliwiéj, bo zmarnował we dwójnasób tyle co mu się mogło należeć. Nic mu nie należało, nic! Ale po matce, prawnie, do schedy spadającéj nań, może mieć pretensyą. Nie chciał ojca pozywać i zdaje mi się że tém jeszcze serce jego sobie pozyskał.

Stary jest skąpy!

Mój drogi — dodała chwytając za rękę Daliborskiego i głos zmieniając na suchy i złośliwy—mój drogi, ty możesz to zrobić, namówić go... wymódz aby ojca pozwał.

Kończąc te wyrazy piękna wojewodzina starała się oczyma oczarować, spętać, ująć sobie mecenasa. W tych oczach mieniących wyraz było tysiąc obietnic; usta szeptać się je zdawały.

— Mecenasie! możesz być moim zbawcą!

Daliborski milczał zamyślony, jak gdyby się drożył z sobą. Wojewodzina coraz mocniéj stawała nalegająco. Szeptała pocichu nie dosłyszane wyrazy, zbliżała się, opanowywała starostę, który dawał się prosić, może by większéj ceny stała się obietnica.

Nareszcie, jakby wychodząc z zadumy zawołał:

— Zrobię wszystko co mogę, daję słowo. Oprzeć się gdy te śliczne usta proszą, któżby był w stanie? A pani wiesz, żem ja oddawna niewolnikiem jéj wdzięków... Dla pani w ogień i w wodę.

— Moja wdzięczność będzie bez granic—odezwała się wojewodzina—bez granic.

I podała mu rękę.

— Przyznam się pani—rzekł mecenas po chwili cichéj bardzo rozmowy—że zbliżenie się do niego dość jest dla mnie wstrętliwe, ale, cóż robić, sprobuję.

To wiém, że jaki on jest, to jest, ojca kocha, i że skłonić go do wytoczenia mu procesu, będzie rzeczą bardzo trudną.

— Trudną! dla ciebie! zapominając się i coraz większą okazując poufałość, jakby z dawnych pozostałą stosunków, wojewodzina. Trudną! z takim opojem, który pół dnia jest nieprzytomnym i podpisuje niepatrząc co mu podstawią. Trudną, dla Daliborskiego!

— Wszystko to prawda—odrzekł mecenas—podpisuje z zaufaniem, ale téż zdradzony tak łatwo zabić może... To go nic nie kosztuje!

Pogardliwą minkę zrobiła wojewodzina.

— Żebyś ty, na niego, nie znalazł sposobu!

— Ja nie mówię ażebym go nie miał znaleźć, ale wskazuję trudności!

— Aby mnie do wdzięczności pobudzić!—śmiejąc się sucho, dodała, wojewodzina—nie bój się, mówiłam, powtarzam, wdzięczność bez granic!

Mecenas wziął ją za rączkę i długo trzymał przy ustach, patrząc jéj w oczy. Kobiéta czuła że zwyciężyła... Pogroziła mu trochę, przysunęła się i szeptała długo.

— Niepotrzeba nawet procesu—dokończyła—dość będzie najmniejszego dowodu że o nim myślał, że zamierzał. Ojciec tęskni, ojciec go kocha, wierzy w jego poprawę. Probował mnie dla niego przebłagać. Chciał już przebaczyć synowi marnotrawnemu...

Oczy się jéj zaiskrzyły.

— O! póki ja żyję! nie dopuszczę! nie! Albo on, albo ja...

Uspokoiła się nieco.

— Znasz wojewodę—ciągnęła daléj—zestarzał bardziéj jeszcze, słaby jest, mam nad nim władzę; ale pomimo moich starań, tego pierworodnego swojego zapomnieć nie może.

Kto wié jak wojewoda długo pociągnie—dodała z przerażającym chłodem—tacy ludzie żyją czasem bardzo długo. Póki on i syn są na świecie, ja na nim spokojną chwili jednéj być nie mogę. Mogą się zbliżyć! Są usłużni przyjaciele! o! znam ich! są starzy domu rezydenci, służba...

Lecę co najspieszniéj do Warszawy, lękając się starego pod wpływem obcym zostawić.

— O! o wpływ żaden lękać się pani nie możesz—wyrzekł mecenas—jeden jéj uśmieszek, a mieć go będziesz u nóg swoich.

Kobiéta się wzdrygała i ręce załamała.

— A! to życie moje! ta męka, to obrzydzenie które mi ono sprawuje!

Mecenas głową potrząsnął.

Jako człowiek praktyczny wtrącił pocichu:

— A zapisy, porobione?

— O te się moja matka przy intercyzie starała—poczęła głosem zimnym wojewodzina—ale naówczas nie wypadało ani jéj ani mnie nalegać na nic więcéj oprócz zwykłéj oprawy. Ludzie i tak wołali że mnie oddają mu dla pieniędzy. Ale cóż to jest ta mizerna oprawa! Ja muszę na nim wymódz zapisy całego majątku! Cała ta fortuna nieopłaci tego co ja doświadczyłam z nimi!

Wstrzęsła się. Daliborski wtrącił:

— Jabym się pani mojéj i do tego mógł przydać z czasem. Użyłbym wpływów. To trzeba robić przez uboczne drogi, pani nic o tém wiedzieć nie powinnaś.

— Tak, ale najprzód z tą żmiją, z tym zbrodniarzem skończyć potrzeba!—krzyknęła wojewodzina. Że go ci nie zabili! że go nie zabili!

Wymówiła to tak jak gdyby w wyrazach mieszczących śmierć w sobie, nie było nic ani strasznego ani wstrętnego. Daliborski popatrzał na nią z rodzajem podziwu i zdumienia.

— Proszę mnie nie obwiniać o okrucieństwo—dodała wojewodzina—ja się bronię. Tu o moje téż idzie życie. Jedno jego słowo potwarcze, a jestem zgubiona!

— Niechże się pani wojewodzina nie irytuje—powtórnie odezwał się mecenas—Wszystko się zrobi wedle jéj rozkazów. Mamy do czynienia z człowiekiem, który jest samego siebie największym nieprzyjacielem, a dla nas najlepszym przewodnikiem.

Jakby znużona i upokorzona tą rozmową, wojewodzina głowę spuściła i oczy; zadumała się, wyciągnęła rączkę Daliborskiemu i pozwoliła, jakby dla pociechy, okrywać pocałunkami...

Nazajutrz do dnia pięknéj pani już w mieście nie było.

VIII.

Tacy ludzie, jak pan starosta Daliborski, sami na wszystko co na ich barkach spoczywa, nie starczą; muszą mieć pomocników i sprzymierzeńców. Daliborskiemu téż na nich nie zbywało, nie licząc domowych i podrzędnych, jak Małdrzykowski, Pusterski i pomniejsi, codzień pełno u niego było przynoszących i odbierających zlecenia. Nikt jednak tak blizko nie był serca, kieszeni i interesów, jak szwagier, którego z nicości wywiódłszy, ożenił z jakąś siostrą, wyposażył i posługiwał się nim jak niewolnikiem.

Zwał się ów jegomość Paliszewskim, był niepozornym, zarazem niegłupim, ale natura go stworzyła na istotę bierną. Przyprzężony do wózka cudzego z drugim obok szedł wyśmienicie, ale do hołobli się nie zdał Nie brakło mu inteligencyi ani sprytu, nie miał w sobie téj sprężyny motora, który się wolą nazywa, a przez który życie idzie. Zostawiony sam sobie Paliszewski musiał do spółki wziąć bodaj największego głupca, byle ktoś go popędzał i nim kierował. Los nadał jemu Daliborskiego, a Daliborskiemu to wyśmienite narzędzie. Człowiek był nieoceniony, ale pod rozkazami zawsze, sam na nic. Znano go pod imieniem *anima damnata* pana starosty. Dla niego Paliszewski gotów był w ogień i w wodę, nie mieli dla siebie tajemnic. Starosta wiedział doskonale, że ta biédna istota zdradzić go nie może, boby w nim zdradził siebie.

Ożenienie tego biédaka z siostrą było środkiem przywiązania tém silniejszego do swych losów. Siostra ta, stara panna, brzydka, swarliwa, dostała posażek i administrowała u brata w Daliborzu, mąż się z nią rzadko widywał, ale za nią nie tęsknił. Mieli jednę córeczkę i dla téj żył Paliszewski. Był to człek krągły, zażywny, którego myślenie nie wysuszało, troska nie jadła, widać na nim było wyśmie-

nitą strawność i byt doskonały. Jadł sławnie, pił wiernie, słuchał i spełniał cudownie.

Gdy wieczorem późnym wyszedł starosta od wojewodziny, tak był zamyślony, że noga za nogą się włoką, nim do mieszkania swego się dobił, na zegarach biła jedenasta. W pokoju swoim na kanapce znalazł szwagra, podpartego na łokciu i usypiającego snem dusz niewinnych, które nic nie mają na sumieniu. Paliszewski chrapał...

Wnijście starosty rozbudziło go cudownie, ręką tylko potarł po twarzy i stał już uśmiechając się na rozkazy.

— Spóźniłem się cokolwiek—odezwał się wchodząc starosta— przepraszam cię, mój kochany Julku, ale to z témi babami.

Paliszewski się uśmiechnął, nie miał on téj pasyi i wolał sztukamięs z kwiatkiem od najpiękniejszéj bogini, lecz wchodził w te pasye ludzkie i miał komizeracyą nad niemi.

Starosta zaczął rozwiązywać ogromny ów chomąt muślinowy, którym szyję miał opasaną: ciążył mu.

Paliszewski nawet pytać się nie śmiał, o jakim rodzaju bab była mowa, czekał na konfidencyą. Wtém Daliborski zbliżył mu się do ucha poufnie i z wyrazem rozmarzenia jakiegoś począł:

— Wiesz? wracam od wojewodziny.... Była tu! Mówiłem ci o niéj. Stare to moje amory! Kochałem się w niéj niegdyś szalenie i miałem łaski; kochało się i drugich wiele, choć nie wiem, czy z takim sukcesem. Byłem tak oszalał za nią, że gotowym się był ożenić, choć niewielebym po niéj wziął. Więcéj długów niż majątku... Lepiéj się stało! Wojewoda ją wziął, stary, niedługowieczny, a gdy owdowieje a odziedziczy, będzie to partya pierwsza w kraju. Ręczę ci! nikt jéj nie weźmie tylko ja!

Uderzył się po piersi.

— Czemubyś nie miał wziąć!—szepnął Paliszewski.

— Tylko, trzeba się od tego bestyi, dawnego, zapalonego jéj amanta, a dziś nieprzyjaciela głównego uwolnić.

— A wiém! wiém!—zamruczał Paliszewski—toć za nim chodzę, niewymawiając, razem z tym bałwanem Pusterskim.

— Ale co! bałwanem! a zaraz bałwanem—podchwycił Daliborski.—Jak ja tego nie lubię! to jest sąd płytki. Inne są daleko funkcye Pusterskiego, małe na oko, niemniéj potrzebne. Tacy ludzie, jak ten bałwan, bywają najużyteczniejsi.

Zmieszał się mocno Paliszewski, spuścił oczy i palcami coś po stole zaczął przebierać. Nie był kontent z admonicyi.

— Przepraszam cię, Julku! ale ja z tobą ceremonii nie robię, mówię co myślę, bo cię kocham—ciągnął starosta rozbierając się powoli.—Nie gniewaj się.

— Ale, cóż znowu!—rozśmiał się Paliszewski—który gniewu ani mógł przypuścić.

— Powiédz-że mi, ty, co ludzi tak dobrze penetrujesz! co on myśli? co robi? Widzisz! Pusterski może mi powiedziéć, tam był, tam się upił, taką burdę zrobił, ale ty! ty idziesz do gruntu! ty wytłómaczysz mi człowieka: ja go tak, jak nie znam.

Ułagodzony tém przemówieniem, Paliszewski rozśmiał się dyskretnie dla siebie, tak że uśmiech jego prawie na wierzch nie wyszedł. Usiadł na kanapce, otarł twarz nieco wilgotną po śnie ciężkim i począł głosem stłumionym, ale wyraźnym, głosem tych ludzi, co nie czują prawa podnosić go wysoko, a potrzebują, by ich słyszano. Mówił jak machina, równo, gładko, bez zająkań i namyślania, jak gdyby miał to wszystko dawno przygotowane w kieszeni i potrzebował wysypać tylko.

— Widzisz, kochany bracie! ja ci powiém. Na oko to człowiek bardzo zwyczajny, szałaput, szaławiła, urwis, nic więcéj; a ot nieprawda! Ja go nie rozumiem. My z nim dobrze, ja często, gęsto zagadam do niego i pobaraszkujemy z sobą. Ja go znam, a dobrze nie rozumiem. To człek, jakby to powiedziéć, skomplikowany! Tak! to człowiek skomplikowany!

Daliborski, z pewném sympatyczném politowaniem, patrzał na szwagra i uśmiechał się. Paliszewski mówił daléj:

— Tak, to jest człek skomplikowany! Niemożna powiedziéć, edukacyą odebrał piękną, dużo umié i wié, jak chce, to mówi dobrze i rozsądnie. A! no we łbie, coś jest! teraz, od czasu wyzdrowienia, rozkochany jak kot. Myślałem zrazu, że w téj Strańskiéj.

— Ale, co znowu!—przerwał starosta—to stary kustosz...

— A no! niczego jeszcze! i on ją jednakowo ściska, choć nie o nią chodzi. Nie o nią! ja już doszedłem!

— Byłem tego pewnym!—zawołał starosta.

— Zaczaił się na siostrzenicę Melliniego, śliczne dziéwczę! jak pączek!... Przez Strańską intryguje, ta ją do siebie sprowadza i piwa nawarzą!

— O! ona do tego! samo prawie!—rzekł Daliborski—to jéj fach, do tego ona zrodzona!

I śmiać się począł.

— A juści się z nią ożeni!

— Ani mu to w głowie—rzekł Paliszewski—ale ją weźmie, to pewna! Już kiedy dziewczyna tam chodzi dobrowolnie na romanse o zmroku, to nie bez kozery.

— Doktor nic nie wié?—spytał mecenas.

— Ani odrobineczki....

— Hm! a cóż daléj?

— No, nic!—mówił Paliszewski.—Ale temu szaławile godzinka wieczornego romansu, żeby jak słodka była, mało! Co robić z dniem? Wyjdzie z rana, myślisz, gdzie do porządnéj winiarni, albo na kawę, albo do garkuchni, gdzie się uczciwi ludzie zbierają? Nigdy! Łazi po najbrudniejszych szynkach, z furmanami i czarną gawiedzią, w karty gra, albo pójdzie, gdzie proste dziewki bieliznę myją, siądzie na kłodzie i baraszkuje z niemi. Spotykam go pozawczoraj, myślisz jak? na drewutni, na klocu z furmanem w drużbarta tnie. Jak mnie zobaczył, począł się śmiać, rzucił tynfa i przyszedł do mnie. Ja go pytam: cóż się stało? A on na to: (a jesteśmy z sobą *per* ty).—Cóż ty myślisz? że wasze towarzystwo porządnych ludzi zabawniejsze od tego? A niech was pioruny!... Nudy i głupota. Tu przynajmniéj natura gruba, cała, bez pozłoty i bujna. Kiedy się łają to od psów, kiedy biją, to pięściami w mordę, a kiedy kochają, to choć na środku rynku. Otóż to mi robi dystrakcyą, że ja sobie porównywam nasze wymoczone elegantki i wymokłych śledzi do furmanów i praczek. Skorupa jużciż inna, człowiek takuteńki, ten sam, tylko nie maluje się i nie gra komedyi. A myślisz, że nie potrafią sprytnie łgać? że kobiéty z bosemi piętami nie są zalotne po swojemu?

Mnie to bawi!

Ot co robi—dodał Paliszewski—teraz go nie znajdziesz przez cały dzień, tylko po takich dziurach, po szynkach i w takiém pięknem towarzystwie.

Daliborski się zamyślił.

— Z desperacyi filozofem został—rzekł cicho.

Po namyśle wstał starosta i przybliżył się do szwagra.

— Wiesz o moich projektach—rzekł.—Dla wojewodzinéj nic niémam do odmówienia, bo służąc jéj służę własnéj sprawie. Woje-

woda ma pod siedmdziesiąt lat, otyły, lada apopleksya pójdzie na piwo do Abrahama, a po roku i niedzielach sześciu ja się z nią ożenię; trzeba więc, nie tracąc czasu, przygotować wszystko.... Ją od tego prześladowcy uwolnić, między nim a ojcem położyć nieprzebytą zaporę. Ojciec, jeszcze słyszę, ma słabość do niego.

Ty mi jesteś potrzebnym do tego.

— Ja? ja?—spytał Paliszewski—a to jak?

— Sprowadź go na wieczerzę kawalerską do siebie, ja tam przyjdę; wszystko się zrobi.

Zadumał się Daliborski.

— Co do siostrzenicy doktora, możnaby mu dać znać o tém co się knuje i szyki pomieszać, ale! kto wié? może tak lepiéj. Niech pannę porwie, niech nowym wybrykiem się dobije; szeroko się mówić będzie o téj sprawie. Jeżeli się ożeni, to ojca obrazi, bo dumny a to mieszczanka prosta; jeżeli porwie tylko, zrobimy z tego gwałt i sprawę kryminalną. Więc, na téj drodze, dać mu pokój! mnie co innego potrzeba... Sprowadź nas tylko razem!...

Daliborski jakby pod brzemieniem jakichś myśli, westchnął smutnie parę razy. Siadł rozebrany przy stoliku, u którego z drugiéj strony oparty był Paliszewski, i począł z niezwykłym sobie, jakimś smętnym wyrazem:

— Ciężkie życie na tym świecie, mój Julku!

— Tobie?—rozśmiał się szwagier.

— A! choćby i mnie!—odparł starosta.—Na oko, nieprawdaż?—szczęśliwym się wydaję! A! bodajeś tak zdrów był. Ot, i z tą wojewodziną! Kochałem się w niéj, rachuję na nią, służę jéj, a czasem jak pomyślę, ciarki po mnie chodzą! Piękna kobiéta, ale straszna! W oczach ma coś, co trwoży, jakiś fałszywy blask, jakieś szatańStwo. Wojewodzic się w niéj kochał, i, kat go wié, co między niemi było, a poszła za ojca i teraz ściga go tak, że... że...

Niedokończył mecenas.

— Kochałem się ja. Byliśmy z sobą tak blizko i dobrze, że nie można lepiéj. A kochał się szalenie generał, a włóczył się do niéj książę, którego raz u niéj o zmroku zastałem, gdy matki nie było. Wyprzysięgła mi się, że ją naszedł, że go nienawidzi. Kat ją wié, co w niéj siedzi.

Ale po wojewodzie weźmie milionową fortunę... a ja, mając w ręku ją, dorobię się dziesięć razy większéj. Ręczę za to.

— Mój bracie—odezwał się Paliszewski—a pewnyż ty jesteś, że ona pójdzie za ciebie?

— Musi!—roześmiał się Daliborski.—Wiem jéj wszystkie tajemnice, mam ją w ręku; jeśli się uda wojewodzica z ojcem na wieki rozbratać, jeszcze większą nad nią siłę pozyskam.

No—dodał mecenas, gładząc się po głowie—a przecież i z twarzy się podobać mogę, a to stare kochanie!

Rozmawiali dłużéj, gdy Paliszewski spytał, jak on w swoich izdebkach ma przyjmować takiego panicza.

— Z nim ceremonii przecie niéma, kiedy z furmanami gra w drużbarta przy kieliszku wódki—odparł mecenas.

— A powtóre—dodał Paliszewski—że on wieczory trawi zawsze u Strańskiéj z tą panną...

— Jużci z nią do późna nie siedzi—rzekł zniecierpliwiony Daliborski—urządź się jak chcesz, a trzeba mnie z nim koniecznie sprowadzić i wina tęgiego przysposobić.

We dwa czy trzy dni późniéj, rano zadyszany Paliszewski przyszedł na ucho szepnąć mecenasowi, że wojewodzica zastał w szynku, wedle jego zwyczaju, zabawiającego się podbudzaniem dwu pijanych chłopów do bójki, i że udało mu się go na wieczór koło dziewiątéj do siebie zaprosić.

Mieszkanie miał Paliszewski w tym samym domu co szwagier, tylko o jedno piętro wyżéj i bardzo skromne: przedpokój, sypialnią i dużą izbę, w któréj pisał, jadł i klientów przyjmował. Elegancyi tam nie było. Na ten dzień jednak trochę pacholik od starosty przymiótł pokój i stołki poustawiał. Dla kompanii prosił Paliszewski dwu komparsów, którzy w różnych wypadkach jemu i staroście służyli.

Byli to, w całém znaczeniu wyrazu, na żołdzie mecenasa, ludzie —do wszystkiego.

Szlachta podlaska, oba niby posesyonaci, odziewani byli sumptem Daliborskiego, jedli za jego grosze, upijali się jego winem i stawali pod rozkazy. Miał z nich świadków, oponentów, gardłaczy, wabiarzy,—co chciał. Zwali się Czurmiński i Bankiewicz. Mieli oba tytuliki: jeden Cześnikiewicza, drugi Komornika.

Przychodzili, jak im kazano, w danéj godzinie i recytowali swe role—doskonale.

Trzeba np. było się kim poświadczyć Daliborskiemu, kazał przyjść Komornikowi, zupełnie niezależną grającemu rolę; odwracał się ku niemu.

— Ale, prawda! komorniku,—toż ty ich znasz!

— Ja! jak moje pięć palców...

— Powiedz, że—i t. d.

W innym razie, gdy trzeba było nastraszyć, Cześnikiewicz wpadał z plotką jakąś zręcznie ułożoną, i, zawsze niby wypadkiem, zalewał nią oczy jak ukropem klientowi.

Niekiedy oni dwaj, z przybranymi innymi komparsami, którym pożyczano *ad hoc* pasy i buty (z warunkiem natychmiastowéj restytucyi), wchodzili grać rolę tłumu na pokojach starosty.

W sądach były z nich użytki różne, na sejmikach służyli za prowodyrów, jak stare barany rogate, co trzodę wiodą za sobą.

Komornik i Cześnikiewicz zjawiali się zawsze zawczasu: Komornik prawił dykteryjki, których miał moc niezliczoną w zapasie, Cześnikiewicz był mocny w kuchennéj łacinie; oba mieli postawy poważne, przyzwoite i kostiumy co się zowie porządne.

Wieczorem, gdy na wojewodzica oczekiwał Paliszewski, Komornik i Cześnikiewicz już mu zawczasu kompanii dotrzymywali. Na stoliku dwie talie kart położono i butelczyna już pomagała do zabicia czasu. Oba statyści pili z partesów.

Wicek obiecał się po ósméj, ale nie przybył aż o dziewiątéj, w humorze nie dobrym. Zamaszysto do izby wpadł, czapki nie zdejmując, aż w pośrodku jéj. Paliszewski był już gotów na przyjęcie. Gość pierwsze lepsze krzesło chwycił, objął je, jakby na konia siadał, nie pytając, za butelkę pochwycił i chciał sobie nalewać, gdy Paliszewski syknął. W butelce była deszczówka dla pospolitych gości, podał natychmiast wytrawnego.

Za jednym zamachem parę lampek wypił wojewodzic i dopiero wąsy otarł.

— Nie złe—rzekł—ma swój odrębny brzoskwiniowaty smaczek, warto mu dać buzi.

Nalał Paliszewski trzecią, a Komornik i Cześnikiewicz zaraz się starali wmieszać do rozmowy, bo utrzymanie jéj należało do ich obowiązków.

Ale o włos w początku nie rozbił się humor i zabawa o fatalny szkopuł: zaczęto go mianować wojewodzicem.

— Ale kto u miliona krocset asindziejom powiedział, żem ja wojewodzic? Jako żywo! choć nim mogłem być, nie jestem, nie chcę być, i mianować mnie tak nie pozwalam.

— A jakże?—spytał Paliszewski.

— Jak sobie chcesz, najlepiéj Wincenty. Do szui teraz należę, więc Szujkiewicz.

I śmiać się zaczął.

— Czemuż nie Szujski?—zapytał Komornik.

— Bo to kniaziowska i dostojna rodzina, do któréj się ja przypytywać nie mam prawa. Tymczasem zaś, na tém dosyć.

Baraszkować poczęto. Opowiadał Komornik zabawną sprawę z przeszłéj reasumpcyi trybunału między wdową Mandzińską a kawalerem Panderskim, o najazd na jéj folwark i gwałt, gdzie w inwentarzu rzeczy przez Panderskiego zabranych, figurowały poduszki, przez niego wprzódy przywiezione wdowie, gdy się z nią miał żenić. Rozmaite procesu wywody i głosy, dupliki, repliki, obrony pocieszne powtarzał Komornik, imitując głosy patronów tak doskonale (miał do tego talent osobliwy), iż się za boki trzymać było potrzeba.

Oprócz tego, Komornik gdy sobie podochocił, zabawiał towarzystwo nadzwyczaj pięknem udawaniem szczekania i warczenia dwu gryzących się psów, piał jak kogut, miauczał jak kot, ptastwa głosy naśladował nieporównanie; jednakże do tego jeszcze na razie nie przyszło. bo to był zwykle deser ku końcowi.

Wojewodzic śmiał się z opowiadań, lecz, wedle swego obyczaju, potrzebował drwić z kogoś, począł więc potrosze jeździć po Komorniku i Cześnikiewiczu, gdy drzwi się ze stukotem otworzyły, i z fajką na długim cybuchu, rozpięty, jak gdyby się tu nikogo spotkać nie spodziewał, wszedł Daliborski. Stanął najprzód zmieszany niby.

— A! przepraszam! Spodziewałem się szwagra samym zastać! Stokrotnie przepraszam.

Popatrzał na wojewodzica, którego widywał dawniéj z daleka i z wielką uprzejmością witać go i przypominać mu się zaczął. Wojewodzic przyjął go z razu kwaśno.

Niezważając na to, przysiadł się Daliborski do niego. Rozmowa zaraz znowu na żartobliwe wpadła materye. Daliborski gdy chciał, był zabawny i dowcipny, bo w ogóle robił z siebie co mu było potrzeba.

Nie łatwo rozchmurzył wojewodzica, lecz w końcu Wicuś się zwolna począł uśmiechać. Starosta karty niby bez myśli wziął do ręki, pstryknął parę razy, bawił się niemi.

Na widok ich twarz się wojewodzicowi rozjaśniła.

W kilka minut późniéj Daliborski już zakładał mały banczek, a wojewodzic poniterował. Z oględnością i chciwością biédnych ludzi, tynfami stawili Komornik i Cześnikiewicz, usiłując się pożywić.

Paliszewski pilnował lampek i dolewał z największą troskliwością, aby szkło nie wysychało.

Wszyscy się rozochocili. Wicek strzelał słowami grubemi jak z pistoletu. Daliborski śmiał się i dopomagał.

Upłynęła tak godzina może, gdy gospodarz na stronę nieco począł pod jakimś pozorem odciągać komparsów. Starosta ciągle grał z wojewodzicem.

— Chociaż przypadek nas zbliżył do siebie, Wicku, zupełnie niespodziewanie—rzekł pocichu—jam mu wielce wdzięczen, bom dawno waćpana dobrodzieja szukał.

— Mnie? a toż do czego? na co ja panu się mogłem zdać!?

— Może ja wam—odparł tajemniczo mecenas.

Wicek się rozśmiał.

— Mnie bo w ogóle oprócz szklanki wina, ładnéj twarzyczki i kart, mało się co przydało. Nie mam żadnych interesów, żadnych sperand, i—zgoła nic do czynienia z prawem i ludźmi!

— Ale ja historyą pańską doskonale znam — odezwał się Daliborski — położenie téż. Jednak utrzymuję, że zdaćbym się na coś mógł.

— Naprzykład?—spytał Wicek—tylko, mój mecenasie, nie bierz mnie za dudka i nie myśl abym się ja dał na niego wystrychnąć.

— Oto, powiem *ex intimo corde*, mnie was żal.

— Zmiłuj się, nie żałuj! ja tego nie lubię.

— Położenie przykre...

— Z téj beczki nie pij do mnie, bo kartami cisnę i pójdę!—zawołał wojewodzic—jakom żyw!

Nic nie zmieszany Daliborski ciągnął daléj.

— Znam tę przewrotną kobiétę która waszego nieszczęścia jest przyczyną.

Wojewodzic spojrzał tylko nań.

— Kobiéta przewrotna, łotr baba, to prawda—rzekł—ale nie ona przyczyną nieszczęścia mego tylko ja sam. Zadurzyłem się w pięknéj buzi, zaufałem żmii, którą zgnieść było trzeba...

Na to już niéma ratunku.

— Przynajmniéj na to skandaliczne wydziedziczenie was, którego ona jest sprawczynią, byłby ratunek—dodał adwokat.

— Żadnego niéma, bo ja się sam wydziedziczyłem. Ojciec mi przestał być ojcem, nie chcę od niego nic.

— Bardzo dobrze, ale waćpan masz schedę po matce.

— I téj nie chcę—odparł dumnie wojewodzic zmarszczony, okazując że radby co rychléj skończyć rozmowę.

— Nie wydasz mnie pan z sekretu?—rzekł cicho, pochyliwszy się Daliborski.

— Jeżeli się tego lękasz, to mi go nie mów. Po kiego licha, ja o to nie proszę.

Ciężko szło, starosta jednak nie dawał się odegnać.

— O to po prostu panu powiem, iż wiem, z najlepszego źródła, że pan wojewoda życzyłby sobie, abyś się upomniał o schedę matki. Boi się żony—i, choćby ją chciał wam oddać—niemoże, kobiéta jest chciwa.

Wojewodzic się uśmiechnął.

— Gdyby wiedziała, że krew starego w złoto się przemieni, wytoczyłaby mu ją do kropli.

— Tymczasem—kończył Daliborski—wojewoda was kocha, radby wam dać to co należy, a niéma pretekstu... Trzeba zażądać.

Wojewodzic rzucił na stół karty i wstał prostując się.

— To być może—odparł—bo znam serce ojca; słaby jest, ale dobry: kochał mnie, kocha jeszcze może...

Głos mu drżał.

— Ale właśnie dla tego że on mie kocha, że ja go kocham, że wiem iż ta Harpia-by mu pokoju nie dała i zagryzła go, gdyby, uchowaj Boże, majątku uszczerbić dał—nie chcę... nie chcę!

— Ale jakże tak pan zostaniesz!—zapytał niby z wielką czułością Daliborski—żyć powietrzem nie można.

Wojewodzic minę zrobił pogardliwą.

— Nie frasujcie się o mnie, rzekł—nie wiele ja dziś dbam o przyszłość, mam jeszcze przyjaciół. Dopóki wojewoda żyje, ja kroku nie zrobię; a późniéj, późniéj, zobaczymy.

Waćpan prawnik przecie jesteś — dodał — powinieneś to wiedzieć, że prawa moje do macierzystéj schedy alienowane być nie mogą... Zatém kiedyś się to znajdzie, i—jechał je sęk!

Rzucił kartami o stół.

— Pijmy lepiéj, a o plugawych rzeczach nie gadajmy; zbiera mi się na wymioty: daj pokój!

— Tylko słowo—odparł Daliborski—jedno słowo. Prawdą jest co pan mówisz, praw tych utracić nie możesz, przedawnienia na nie niéma; ale tymczasem się dobra sprzeda, pieniądze jéjmość zabierze... i... kwita!

— Niech będzie kwita! Staremu ja ostatnich dni nie zatruję—odparł z goryczą wojewodzic. Żal mi go! Co to jest być przykutym do takiego stworzenia co z ciebie krew wysysa, a żółcią cię poi, którego imie fałsz i zdrada, kłamstwo i chytrość; stworzenia co w uśmiechu ma jad i jest wcieloną szatanicą!

Mówiąc to zaczerwieniał się strasznie wojewodzic, wypił wino, szklanką stuknął tak że ją rozbił i siadł na krześle, podparłszy się na ręku.

Rozmowa dalsza w tym przedmiocie, stawała się niepodobną... Daliborski wyciągnął dłoń i z milczącém współczuciem, doskonale odegranćm, ścisnął rękę zimną milczącego wojewodzica.

— Gdybym waćpanu dobrze mógł kiedy w czém służyć—mruknął—proszę mną dysponować.

— Lichegobyś miał ze mnie klienta,—rozśmiał się wojewodzic—biédę klepię sam i do niéj nikogo zaprzęgać nie myślę.

— Hę!—rozśmiał się mecenas—czy pewno?

Popatrzali sobie w oczy.

— Cóżeś to słyszał?—spytał wojewodzic—że się do Strańskiéj umizgam?

— Byłbym głupi, gdybym temu wierzył; bo Strańska na zabawkę jednego wieczora pół biédy, ale na dłuższy termin?!

Wojewodzic się rozśmiał.

— Jest tam przecie dworek niedaleko, a w nim śliczności dzieweczka, hm! hm!

— Mecenas wiesz wszystko—odparł nieco zmieszany Wicek—jednak nie kładź palca między drzwi, proszę!

— Wcale przeszkadzać nie myślę, a pomocy w tém pan nie potrzebujesz: życzę tylko szczęścia.

Wojewodzic spojrzał chmurno.

— Że téż to ludzie wszystko wiedziéć muszą.

— Albo się wszystkiego domyślą—rzekł Daliborski.—Przyznasz pan, że Strańska teraz nikogo nie zbałamuci. Gdy ją miecznik brał na swoim folwarku u ekonoma, była śliczności dziewczyna, a no! dziś, na dewotkę jeszcze ujdzie, a na tak popsuty smak jak pański! ho! ho!

— Smak podobno oba na jedném kwaśném jabłku popsuliśmy!—zawołał wojewodzic—waćpan téż pokryjomu do tego szatana cholewki smaliłeś!

Daliborski się zmieszał trochę, ale na krótko; głową trząsnął:

— Durzyło się tam wielu—rzekł krótko.

— Ja się nie dziwię, bom pierwszy i najgorzéj oszalał, za co do dziś dnia pokutuję. Ale—dodał zuchowato—niéma tego złego, coby na dobre nie wyszło; teraz żadnéj kobiecie nie wierzę i gdyby się we łzy roztopiła, nie żal mi żadnéj. Imię ich wszystkich: fałsz i zdrada!

Gramy!—zawołał chwytając karty.

Starosta rad nie rad, wziął ze stołu karty także, poczęli grać i mówić o czém inném.

Podano wkrótce wieczerzę, przy któréj pustoty było wiele, a wojewodzic, jakby chciał sobie zapłacić za przykrą rozmowę, zjadliwie począł wszystkich przedrwiwać. Daliborski, któremu się téż parę razy dostało na odlew, wyniósł się gniewny. Komornik i Cześnikiewicz prychali, nie śmiejąc się zbyt oburzać, bo ich wejrzenia Paliszewskiego wstrzymywały. Po północy już tęgo napity, śpiewając na całe gardło, wojewodzic Komornika gwałtem za socyusza wziąwszy, spuścił się ze wschodów. Komornik nie był téż trzeźwy. Towarzysz przez całą drogę mu kułaki dawał i ostrzegał go za każdą razą, że się zbyt do ścian zbliża i tłucze.

Jeszcze w ulicy słychać było śpiewanie gościa, gdy Paliszewski spuścił się do szwagra.

Znalazł go złym i kwaśnym.

— A co?—zapytał Paliszewski.

— Nic!—rzekł Daliborski—Kraków nie odrazu zbudowany. Początek zły, ja się tém nie zrażam. Nie wypiera się bardzo siostrzenicy doktora: tu go ja wezmę. Bez grosza i zapasu jéj nie porwie, bo z czémże będzie uciekał? Na to pieniędzy trzeba. Fajwlowi i innym musimy zapowiedziéć, żeby mu złamanego szeląga nie pożyczali.

— Napisze do księcia generała, przyśle—rzekł Paliszewski.

Starosta się rozśmiał.

— Tęgiś!—rzekł.—Książę przyparty do kąta, w żywe oczy, juści da ostatniego dukata, a na listy ani grosza. Sam potrzebuje i niéma. Matka się z królem poróżniła, król nie da. Lipski i Mierzejewski wszystkie źródła kredytu wyczerpali, Kodeńszczyzna zadłużona, a tu sejm, na który ogromnych sum potrzeba! Tęgiś!

— Więc—dodał po małym przestanku Daliborski — niech się kawaler rozkocha, rozpłomieni; panny nie dostanie, gdy pieniędzy miéć nie będzie. Wówczas i ojca sprzeda i zrobi co mu każą.

Młody jest, panna piękna, a miłość sumieniu milczéć każe. Chybaby miał pieniądze!—westchnął starosta.

— Dużo ich niéma, a traci wiele—rzekł Paliszewski.

— Więc, cierpliwości! Żeby mu się tylko z panną udawało, o czém nie wątpię. Kawaler ładny, panicz, wisus; taka kuropatewka co siedziała w krzaczku, niepodobna, aby sobie nim głowy nie zawróciła.

Paliszewski, słuchając z admiracyą wywodów szwagra, wyrażał całą postawą głęboką cześć, jaką czuł dla jego geniuszu.

Wstał pan starosta.

-- Idź spać, a z oka go nie spuszczaj: postawimy na swojém.

IX.

Pan wojewoda był potomkiem starego, dobrego, szlacheckiego domu, który, gdy tego zaszła potrzeba, wywiódł się od jakiegoś króla Gotów, brzmieniem swojego nazwiska; ale, w historyi kraju, dom ten nigdy znacznego i wybitnego nie uzyskał stanowiska. Gocka ta krew w żyłach przodków wojewody płynęła jakoś spokojnie i do wielkich czynów a śmiałych wystąpień nie zagrzewała. Ludzie byli zacni, możni, na majątku rośli, na znaczeniu w województwie zyskiwali, zresztą żyli dla siebie więcéj i na ustroniu.

Odznaczała ich ta dobroduszność, która była przyczyną zguby ostatniego pana wojewody. Mając syna i córkę dorosłych z pierwszego małżeństwa, w późnym wieku ociężały, z nogami, w których już pedogra (naówczas jéj aparycyi sobie winszowano, jako znaku długiego życia) założyła mieszkanie, dał się młodziuchnéj wziąć panience i wystrychnąć na męczennika. Widzieliśmy już potrosze czém panienka była, ta może byłaby sobie innémi drogami szukała szczęścia z piękną twarzyczką a małém mieniem, gdyby nie matka, kobiéta w przewrotności i zepsuciu ją przewyższająca.

Była to saskich owych dobrych czasów wychowanica, w których się Augusta II tradycye żywe jeszcze utrzymywały. Matka Denhoffowéj, pani Bielińska była dla innych wzorem. Za jéj przykładem szła ta pani i sama rozpoczęła konkury około bogatego, niedołężnego wojewody, obrachowawszy dobrze piękność córki, jego słabość, licząc i na to, że nie mógł być długowiecznym. Wojewodzie ożenienie z młodziuchną, sławną z piękności i żywego temperamentu Dosią, ani się śniło, gdy mu matka sama stręczyć ją i w najrozmaitszy sposób zbliżać go do niéj zaczęła.

Wiedziała dobrze o zalotności Dosi, o mnogich jéj konkurentach, o szalonéj miłości wojewodzica, którego raz sama, zastawszy w córki

pokoju, odprawiła z domu. Wszystko to nie powstrzymało jéj, owszem może przyśpieszyło swatanie gwałtowne wojewodzie.

Pomiędzy matką a córką na cztery oczy niemało się scen odegrało gwałtownych, w końcu Dosia, gdy się świat tego najmniéj spodziewał, jednego poranku, pocichu u Ś. Krzyża zaślubioną została wojewodzie.

Starzec dał się opanować, ująć, związać; taił się przed własnym synem dostrzegłszy, iż był małżeństwu przeciwnym; ukrywał przed córką. Fakt spełniony Warszawa przyjęła zdumieniem, niedowiarstwem, niektórzy oburzeniem, bo o stosunkach panny z wojewodzicem wiedziano, reszta śmiechem.

Co się tam późniéj w pałacu wojewody działo, który, kochając syna, koniecznie go chciał miéć przy sobie, gdy młoda macocha pozbyć się go usiłowała; o tém mówiono wiele, różnie, nikt szczegółów nie wiedział.

Złośliwsi utrzymywali, że tragiczne sceny poprzedziły wygnanie syna marnotrawnego, że raz podana mu z rana czekolada, gdy ją dał pieskowi, zabiła go na miejscu; że wojewoda obwiniał go o zbrodniczą zdradę i zamach na spokój i szczęście jego domowe, i t. p. Skończyło się na tryumfie młodéj macochy, na wygnaniu syna, z zastrzeżeniem, ażeby się ojcu na oczy ukazywać nigdy nie śmiał: na wydziedziczeniu.

Lecz, od chwili, gdy się to spełniło, wojewoda, który swego pierworodnego kochał, wpadł w rodzaj smutku i melancholii, z których go nawet pieszczoty i nadskakiwania ślicznéj pani wywieść nie mogły. W opiece jéj i matki, które dom cały, służbę, wszystko co otaczało starca, pochwyciły w ręce swoje, dopuszczając do niego tylko tych, których wybierały, wojewoda zdziecinniał: postradał resztę woli, energii i rozumu.

Pilnowano go tak, iż słowa prawie wymówić nie mógł, któregoby mu nie podyktowano; robił to tylko, co dozwolono: zostawał pod najściślejszym nadzorem. A że pedogra często przykutym go do krzesła trzymała, matka i wojewodzina przyjmowały same gości i zabawiały się swobodnie.

Starościna, matka Dosi, średnich lat kobiéta, chcąca być młodą, miała wszystkie wady owych pań z czasów Augusta II, dla których życie było pasmem rozrywek. Kosztowała je wiele za młodu, potém ruina majątku zmusiła ograniczyć się bardzo; teraz gdy dostatek powracał, chciała go używać w całém znaczeniu tego wyrazu. Córka

była dla niéj narzędziem. Bawić się potrzebowała ciągle. Z resztkami piękności szukała gwałtownie adoratorów, żyła wrzawą, ruchem, zgrają, którą się otaczała, lubiła grać, potrzebowała jeść wytwornie. Wszystkie te gusta miała téż córka w wysokim stopniu, a matka raz wydawszy ją za mąż tak szczęśliwie, nietylko nie hamowała jéj fantazyi, ale się niemi cieszyła. Żadne względy na téj drodze wstrzymać ich nie mogły.

Nieszczęśliwy starzec był tak ślepy a tak łatwo go jedném pogłaskaniem po twarzy i podaniem rączki ukołysała, gdy był zburzonym, piękna Dosia, iż mogły dwie kobiéty robić z nim co chciały. Powoli, stopniami, stare sługi rozpędzone zostały, aby żadne słówko żalu po przeszłości nie doszło uszów jego.

Na samym ostatku pozostał Filip Makowski, który wojewodzicowi od młodych lat służył, był z nim razem w szkołach, nie opuszczał go nigdy. Gdy inni dali się gracyami na wieś powywozić, pensyami poodpędzać, pod pozorem, że starzy byli i nieudolni do żwawéj służby w domu, Filip nie dał się wysadzić, a wojewoda nawet oparł się wprost odprawieniu go i powiedział, że chyba chcą śmierci jego, jeśli mu Filipa odbiorą.

Starościna i wojewodzina nie zwątpiły iż na swojém postawią, ale tyle już i to szybko dokonały, że uważały pośpiech zbytni za niebezpieczny, za nazbyt bijący w oczy. Odłożono sprawę Filipa na trochę późniéj. Wojewodzina ją zwolna przygotowywała na różny sposób: najprzód udając wielką czułość dla starca, który się męczył i potrzebował odpoczynku, potém znajdowała że mu się ręce trzęsły, że nie miłą woń z sobą wnosił do pokoju, że się zapominał i t. p. Wojewoda słuchał nie odpowiadając, ale służyć sobie nie dawał nikomu oprócz niego.

Dwie kobiéty instynktem czuły w nim wroga, wiedziały że wychowywał, wynosił na ręku wojewodzica, że po nim płakał, że zagniewane serce ojca usiłował rozbrajać dla syna... podejrzywano go o różne zdrady...

W tych domowych zajściach, które zaraz po ożenieniu, gdy wojewodzica ojciec jeszcze trzymał przy sobie, odegrały się między czterma murami, Filip podobno grał jakąś rolę, któréj mu pani przebaczyć nie mogła.

Na ostatku był to szpieg domowy niebezpieczny, a panie obie miały mnóstwo tajemnic, których nie życzyły sobie rozgłaszania. Nie

sposób było prawie zapobiedz, aby Flip późno przychodzących do starościny i wojewodziny gości poufałych nie widział. Nie zbywało na nich, bo obie panie miały nadzwyczaj rozległe stosunki. Francuz Labuś, średnich lat, sekretarz jakoby starościny mieszkał przy niéj w pałacu. Wojewodzina miewała konferencye z różnymi młodymi elegantami, kończące się częstokroć tak późno, iż ich nawet najpilniejsze sprawy nie mogły wytłómaczyć. Wszystko to Filip zdrajca mógł wiedzieć, pochwycić i powiedzieć o tém staremu, który jak ślepy był także zazdrosny. Żona mu wmówiła co chciała, ale podejrzenia wracały, i, co najosobliwsza, nigdy nie były słuszne. Wojewoda czepiał się ludzi niewinnych, a bijących w oczy skandalów, nie widział.

Największą jednak Filipa winą było to, że kochał panicza, że go bronił, i że serce ojcowskie do łaskawości dlań skłaniał. Nie można go było jakoś schwytać na uczynku, gdyż młoda pani byłaby użyła środka, już wypróbowanego: albo on, albo ja!

Sama groźba, iż żona go mogła opuścić, równała się śmierci dla wojewody. Kochał ją! kochał ją miłością starca rozpaczliwą, dziką, straszną: nie mógł żyć bez niéj. Łagodne słowo wymogło na nim wszystko, groźba przerażała; łaska pani, pogłaskanie, pocałunek, w wielkich razach, złożony na czole, wprawiały w szał wojewodę.

W salonie nie spuszczał z niéj oka; stawał się śmiesznym, bo, gdy na nią patrzał, usta mu się mimowolnie roztwierały, zwisała warga dolna, oczy wychodziły na wierzch, ręce się trzęsły. Zdawał się zdala chcieć pochwycić każde jéj słowo, napierać się jak dziecko, aby się ku niemu zwróciła; niekiedy niecierpliwość starca dochodziła do gwałtownych oznak niepokoju: tupał choremi nogami, rękami bił o krzesła poręcze, a jeżeli mógł chodzić i pedogra mu niezbyt dokuczała, jak cień się snuł za nią: dla jednych było to pobudką do śmiechu, dla innych prawdziwym smutkiem i upokorzeniem. Zkądinąd bowiem był to człowiek nie bez dobrych przymiotów, serca szlachetnego, głowy otwartéj gdy z namiętności ochłonął. Matka i córka obchodziły się z nim wcale inaczéj w salonie, gdy osób było wiele i oczu, a inaczéj sam na sam lub w kółku małém, dla którego stosunki domowe nie miały tajemnic. Przy ludziach był przedmiotem poszanowania, starań i czułości, powoływano się na niego, okazywano mu uległość, niemal i posłuszeństwo; żona pieściła, matka jéj troskliwą była nad wyraz o zdrowie, prawiono mu słodycze. Gdy goście odeszli, często grubiańsko się z nim obchodzono, i nie słuchano wcale, zdając

go na Filipa, odpowiadając opryskliwie, albo nie myśląc nawet wcale odpowiadać. Żona dawała mu do zrozumienia, że ją męczył i nudził i że jéj sprawiał obrzydliwości.

Obcierała rękę, gdy ją pocałował, krzywiła się i kończyła półgłosem:

— Dałbyś bo jegomość pokój z temi karesami... kiedy choroba do krzesła przykuwa. Co to już o tém myśleć. Otrzyjże gębę, bo ślina ciecze. Pfe! i t. p.

Przy gościach w żywe oczy mu wmawiano rozmaite dyspozycye o których nigdy nie myślał, a którym zaprzeczać nie śmiał. Korzystano potém z tego robiąc co się podobało i łająć starego, że się zapominał. Za wszystko to wynagradzała chwilka w salonie, albo, gdy bardzo był rozdrażniony, pogłaskanie pod brodę. Obawiano się o jego zdrowie i życie. bo jeszcze zapisy nie były doprowadzone do skutku, wiele interesów nie pokończonych, i życie jego potrzebném było. To téż codzień przychodził doktor Becker, który między innemi, nie zapominał zalecać, aby się w zbytnie czułości z żoną nie wdawał, bo każde podobne rozczulenie jest, jak się wyrażał, ćwieczkiem do trumny. Stary wojewoda byłby wszakże i trumny się nie uląkł, gdyby tylko Dosia dłań trochę milszą być chciała. Mógł on sprawiedliwie powiedzieć, jak to staropolskie przysłowie: „Chwałaż Bogu, goście, to się i gospodarz przy nich pożywi.” W istocie żywił się tylko przy nich, ale nie zawsze do gości wychodzić mu było wolno. Gdy mógł zawadzać, naówczas i doktor niepozwalał... i na korytarzach były przeciągi, i tysiączne do wyjścia przeszkody. Zostawać musiał sam w swoim pokoju, do którego mało kogo, i to tylko za zezwoleniem pani, dopuszczano, a że się nudził, grywał z Filipem w arcaby albo w maryasza na zdrowaśki za dusze zmarłe.

I tego dnia w pałacu była kompania liczna, wojewoda zawsze należał do partyi dworskiéj, którą w czasie tego sejmu, *pieczeniarzami* nazywano; trzymał z królem, od którego miał dwie wstęgi i któremu wiernie służył wpływem swoim, dopóki ten wpływ posiadał.

Na pokojach więc widywać było można najczęściéj i prawie wyłącznie to, co z dworem trzymało: adyutantów króla, szambelanów, przyjaciół, niekiedy osoby do familii należące, marszałkostwo Mniszchów, nawet panią Krakowską i nieodstępnego jéj towarzysza wojewodę Mokronoskiego. Pani starościnie i wojewodzinie stosunki te najlepiéj się uśmiechały, bo obie łakome były na korzyści, jakie z nich płynęły,

a miały ciągle coś do wyrabiania dla siebie lub dla drugich: wszystkie inne sprawy były im zresztą obce.

Miewał téż wojewoda za lepszych czasów odwiedziny ambasadora, u którego bywał na zwykłych obiadach niedzielnych, odwiedzał go De Cachi, austryacki reprezentant, który najlepiéj bezczynność austryacką reprezentował; Buchholtz i jego teść starosta hamersztyński, z którego mało gdzie się nie wyśmiewano, tak go Stackelberg, wiecznie drwiąc z niego, śmiesznym uczynił.

Pani starościnie i młodéj pani szło o utrzymanie tych stosunków i dlatego wojewodę czasem do salonu wpuszczano i dawano obiady paradne; znaczniejszą jednak część czasu zawadzał stary i kazano mu być chorym.

Tak właśnie i tego wieczora, na który wprowadzimy czytelnika, wojewoda dopuszczonym nie był. Markotny i kwaśny siedział sam w swoim pokoju, a choć apartamenta, w których przyjmowano, dosyć były odległe, aż tu dochodziły, gdy drzwi otworzono, odgłosy rozmowy i śmiechów, biegania sług, turkot powozów. Wojewoda wsparty na ręku przy stoliczku, na którym stała szklanka jakiegoś napoju, zdawał się drzemać z nudów, gdy stary Filip wszedł na palcach pocichu. Chód jego tak znał wojewoda, a przybycie tak zgadywał, że się zaraz odwrócił. W pokoju było dość ciemno. W kącie, na gierydoniku paliły się dwie woskowe świece żółte pod umbrelką.

Filip wsunął się rozglądając, utarł knoty narosłe świec w lichtarzu, rozglądnął się, przystąpił do krzesła, pochylił ku panu jak ku dziecięciu, z czułością macierzyńską.

Wojewoda spojrzał ku niemu... i nic nie mówiąc, palcem wskazał w stronę, zkąd go dochodziła wrzawa.

Zabawa, któréj nie dzielił, na któréj była żona, zazdrością wyżymała mu serce.

Kiwnął głową i smutny sparł się na ręku; Filip ramionami ruszył, mówić sam, a zwłaszcza poczynać nie śmiał.

— Kto tam jest?—zapytał stary.

— Albo to zliczyć—odparł sługa—co moment kareta zajeżdża.

— Kobiéty są?

— A jakże!—rzekł Filip.

— Kto?...

— Starościna Olbromska, generałowa Grabowska, Tomatysowa... a, kto zliczy...

Wojewoda trochę się rozchmurzył, bo wolał kobiéty, niż mężczyzn.

— A z mężczyzn, z zamku jest kto?

— Jest dużo—rzekł Filip.

— Co robią?

— Pewnie już do kart siądą, bo i Tomatys jest, a on zaraz założy bank, byle się trochę ludzi zebrało.

I karty wojewoda tolerował, a wolał je niż inną zabawę.

— Wieczerza będzie suta — dodał Filip—stół nakryty na pięćdziesiąt osób.

Stary, który jeść lubił, westchnął na wspomnienie wieczerzy i przysmaków, których mu na utrapionéj dyecie kosztować nie było wolno.

— Co robić?—dodał, zwolna się rozgadując, zawsze pocichu, do ucha pochylony Filip.—Mieli i my nasze czasy za nieboszczki pani!

Ręką dał znak wojewoda, że mu to wspomnienie przykrém było, Filip popatrzył i na moment zamilkł. Przysunął się potém jeszcze bardziéj do ucha wojewody i ledwie dosłyszanym głosem szepnął:

— Póki panicz był, inaczéj u nas wyglądało, inaczéj!

Stary głowę nagle odwrócił i pogroził mu palcem.

— Niby to jegomości tak jego nie żal jak mnie! niby ja jegomości nie znam!—mówił Filip—niby ja nie wiem, że panisko moje, choć odpędziło precz, a żałuje i tęskni.

Obruszył się wojewoda i mrucząc, zagroził znowu.

— Co? nawet mnie ma być mówić już nie wolno!—ciągnął nieustraszony Filip.—Niech się sobie jegomość i gniewa, ja ust nie zamknę. Jam go na ręku wynosił, ja go kocham. Mówią na niego, że łotrował, albo to się młodość nie musi wyszumieć? A my to lepsi byli? A pamięta pan tę Włoszkę w Dreznie....

Stary tupnął nogą mocno: zabolała go, syknął.

— Ja, uchowaj Boże!—rzekł Filip, schylony nad nim—na panią wojewodzinę nie mówię nic. Znam respekt, pani moja jest, ale jéj matka!... Ona to narobiła téj kaszy, ona do tego nas przywiodła, że panicz musiał iść precz. A pletli, a łgali. Nieprawda! taki zły nie był.

Staremu z jednego oka łza pociekła, otarł ją ręką nabrzękłą, kułakiem, bo palców roztworzyć nie mógł.

— Cicho bądź! co mi serce krwawisz.... — odezwał się płaczliwie.

Filip posłuchał i zamilkł, miał już odéjść, gdy go za klapę od kontusza chwycił wojewoda i do ucha mu zamruczał:

— Ty wiesz, gdzie on jest? co z nim się stało? co? mów!

Zawahał się Filip.

— Gadaj!—nalegał stary.

— A cóż? włóczy się gdzieś biédactwo, niemając gdzie głowy przytulić. Może nędzę cierpi.

— Zaś!—bąknął wojewoda.

— No, a zkądże ma wziąć na życie? niéma nic, a skórynkami suchemi nie nawykł się żywić, musi cudze kąty wycierać i na łasce się sustentować.

— A zkądże ja mu co wezmę, choćbym chciał—odparł wojewoda—kiedy od ostatniéj choroby kasa u jejmości.

Filip ręką zamachnął.

— A po co pan oddał klucze?

— Kiedym był w gorączce, wzięli mi z pod poduszki — jęknął wojewoda.

— Jakby to się o nie upomnieć nie można.

Stary rękami począł pokusę odpędzać i głowę sparł na dłoni.

Filip odszedł na palcach, przesunął się po pokoju tam i nazad, niby coś poprawiając, ustawiając, przygotowywając dla pana, lecz widać było, że o czém inném myślał. Wreszcie jakby go niecierpliwość wzięła i czasu się obawiał stracić, przybliżył się, pochylił znowu i szepnął:

— On tu jest!

Usłyszawszy to wojewoda, pomimo bezwładności, tak się strasznie żachnął i rzucił, że Filip przestraszony rękami obiema go wstrzymał...

— Gdzie? jak?—wyjąknął bełkocząc.

— Niechno się pan lemoniady napije a uspokoi—dodał Filip.—Po co zaraz tak się burzyć.... Wszak to zaszkodzi...

Chociaż stary odtrącał szklankę, zmusił go Filip, trzymając mu ją przy ustach do napicia się.

Zaledwie łyknąwszy, wojewoda zwrócił ku niemu błagające oczy, ale myśl mu przyszła zapewne, że ktoś nadejść może, gdyż natychmiast wzrokiem ukazał na drzwi, przez które czasem jejmość lub jéj matka, dla przekonania się, iż nikt nie wszedł bez pozwolenia, w czasie uczt i balów, wbiegały.

Filip się uśmiechnął, dając znak, że nateraz niéma się co obawiać.

— Jest tu, w Warszawie; przypadkiem się dowiedziałem: za pieniędzmi biega, biedaczysko.

Stary załamał ręce nabrzękłe, których palce sine ledwie mogły się rozkurczyć, pod silném wrażeniem, jakiego doznawał: zabolały go i jęknął.

Przez chwilę siedział milczący, ze łzami na oczach, potém począł coś żywo szeptać na ucho Filipowi, który mu głową potakiwał. Dali sobie nawzajem znak milczenia, wojewoda zakrył twarz rękami i pozostał tak nieruchomy. Ledwie Filip miał czas odejść od niego kroków parę, gdy z trzaskiem otwarły się owe drzwi, choć chodu ku nim słychać nie było, i na progu ukazała się pani starościna, kobiéta średniego wzrostu, dosyć otyła, z oczyma czarnemi, głęboko już zapadłemi, wybielona straszliwie i wyróżowana, strojna, cała we wstęgach, falbanach, koronkach i fantazyach.

Twarz jéj, nosząca piękności ślady, tak była ostrego i niemiłego wyrazu jak córki; fałsz czytać się na niéj zdawał cyniczny. Oczyma najprzód zmierzyła pokój i jego zakątki, podejrzliwie wpatrywała się w starego sługę, i zawołała:

— Jeszcze nie w łóżku? A po co wojewoda siedzi tak długo, nogi spuszczone brzękną. Po co? Z gości tu nikt nie przyjdzie.

— Dajżebo mi asindźka, choć wypocząć po leżeniu, bo mi dojadło—odezwał się wojewoda jękliwie.

— A cóż to ja ze złego serca radzę? Ot! to piękna wdzięczność za to, że się koło jegomości ma staranie.

Zwróciła się do Filipa.

— Jeżeli wojewoda nie jadł, niech potrawkę i jaja przyniosą —rzekła—ale więcéj nic! tak doktor dysponował. A potém pozamykać i do łóżka.

Dobranoc!

Wojewoda kiwnął głową, starościna wyszła.

Salony były tego dnia pełne i wrzawliwe. W gabinecie obok wielkiéj sali bawialnéj, Tomatys z krzyżykiem maltańskim u fraka, ciągnął bank u stolika, do którego trudno się było docisnąć. Duchowny jakiś w fioletach, z twarzą zgniłéj cery, pofałdowaną, odrażającą, przed ktorym leżały dwa rozłamane rulony dukatów, poniterował namiętnie. Kilku mężczyzn w mundurach gwardyi, jeden w jakimś cu-

dzoziemskim, stojąc stawili na karty. Kilka pań wystrojonych, do gorsu, z piórami na głowie, z których jedna młodziuchna i uderzającéj piękności siedziały oczy trzymając wlepione w Tomatysa.

Pan hrabia, bo tak go nazywano, ciągnął z flegmą i obojętnością rutynowanego szulera. Nieopodal od niego śliczna jego żona cała w brylantach, z uśmieszkiem na ustach, rozmawiała zpoza wachlarza, który trzymała przy ustach, z bardzo wyelegantowanym, młodym mężczyzną, jak gdyby tłum ich nie otaczał i nikt podsłuchać nie mógł. W istocie wszyscy tak zajęci byli kartami, że gdy Tomatysowa upuściła umyślnie chusteczkę, a kawaler podnosząc ją, wsunął bilecik, nikt, oprócz téj, dla któréj był przeznaczony, nie postrzegł manewru. Szepty potrwały jeszcze chwilę, młodzieniec przeprowadził piękną panią, spoglądającą pogardliwie, z góry na tłum, przelewający się przez pokoje, aż do progu sali i pożegnany nader znaczącym uśmiechem wrócił probować szczęścia z mężem téj, któréj wdzięki nieco zwiędłe już, czarowały go.

Ponad stołem gry, to cisza panowała dziwna, jakby wszyscy oddech nawet zaparli, to wybuchały okrzyki. Spierano się i wywoływano głośno. Tomatys ciągnął na nic nie zważając, mankiety tylko odrzucał niekiedy, aby mu nie zawadzały, i ręką okrytą pierścieniami, brylantami świecącą, sięgał do kieliszka z burgundem, stojącego przed nim.

W sali formowały się grupy, zajęte rozprawami najrozmaitszemi. Sama pani strojna cudownie, jaśniejąca pięknością, którą tego wieczora walczyć mogła z najsłynniejszemi Elżbietami, a nawet z najpiękniejszą Zofią Wittową, będącą bożyszczem młodzieży, przechadzała się to z paniami, to z mężczyznami, to przysiadała do poważniejszych, które z sobą rozmawiały na kanapach. Niezbywało jéj na adoratorach, z kolei przysuwających się na chwileczkę poufnéj rozmowy: młodzież snuła się za nią.

Obejście się jéj z nimi było nadzwyczaj śmiałe, wyzywające i zalotne; przybrała maniery tych wielkich pań owego czasu, które śmiałością zastępowały wdzięk skromny, cynizmem niekiedy, młodość i ponęty, na jakich im zbywało. Śmiano się głośno, z więcéj niż dwuznacznych słówek. Mężczyzni pozwalali sobie wiele, wiedząc że dla trochy dowcipu, wszystko im będzie przebaczone. Wojewodzina była właśnie pod oknem, na wesołych jakichś szeptach z ledwie dwudziestoletnim książęciem... powracającym z Paryża i woniejącym perfuma-

mi Palais-Royal, gdy we drzwiach sali ujrzała wchodzącego powoli, ostrożnie, z wielką jednak powagą, pana starostę Daliborskiego.

On jéj szukał oczyma po sali. Szepnęła coś na ucho książątku, które namiętnie rączkę jéj pochwyciło i do ust przycisnęło i, prześlizgując się zręcznie pomiędzy gośćmi, pośpieszyła na spotkanie niespodzianego przybysza. Zdumienie i niespokój widać było na jéj twarzy. Daliborskiego po drodze witali nader żywo i uprzejmie, prawie wszyscy, jedni podając mu ręce, drudzy klepiąc po ramieniu. Z kątów sali wykrzykami niektórzy się doń odzywali. Przyjęcia lepszego, zaprawdę, nigdy się spodziewać nie mógł. Oznaczało ono dobitnie jak przedziwne miał stosunki w stolicy.

Generał Stępkowski podszedł ku niemu, uściskał go w obliczu wszystkich, ucałował jak brata. W wielu sprawach i nieraz byli sprzymierzeńcami, a przy sprzedaży województwa, Daliborski kooperował czynnie. Starosta, jak tylko zobaczył zbliżającą się ku sobie piękną panią, która z niejaką trwogą podchodziła ku niemu, rzucił nawet Stępkowskiego, aby dobiedz co rychléj do jéj rączki.

Nie dosłyszanym głosikiem spytała go przy powitaniu:

— Interes?

— Tak jest.

— Pilny?

— Bardzo!

Krótka ta słów zamiana wywołała przelotny rumieniec i wojewodzina poczęła rozmowę pustą, wesołą, nic nie znaczącą, głośno. Manewrowała jednak ciągnąc za sobą Daliborskiego tak zręcznie, że się znaleźli wkrótce w gabiniecie w którym grano. Tu rozmówić się było niezawodnie najbezpieczniéj. Wrzawa pokrywała głos, a uwaga zwróconą była na kupkę złota i nikt nie spojrzał nawet na tę parę, która się naprzód wcisnęła ku stolikowi, potém wkrótce na stronę. Tu stało wielkie trumo, w którém zarazem piękna wojewodzina od stóp do głów przyjrzeć się mogła swéj wdzięcznéj postaci, a Daliborski miał ją podwójną przed sobą.

— Co za interes?—zapytała.

— On tu jest!

Wojewodzina zagryzła usta silnie, drgnęła; obejrzała się, czy kto na nią nie patrzał i nie czytał z jéj twarzy, natychmiast stając się obojętną.

— Cóż to znaczy?—spytała.

— Niewiem! Pomimo żem go pilnować kazał, mimo że się kocha szalenie w młodziutkiém i niewinném dziewczęciu, które pono téż za nim szaleje, prysnął mi nagle, bez żadnéj zrozumiałéj przyczyny.

Wojewodzina stała zamyślona gryząc wachlarz, którego strzępki już spadały na ziemię. Oczy jéj stały się płowe, straszne, iskrzyły jakimś blaskiem i barwą niezwyczajną. Słychać było jak korkiem trzewika biła w posadzkę.

— Ślicznie go pilnujecie! pomagacie mi dobrze—poczęła półgłosem—*C'est parfait!* niéma co mówić.

— Ale mógłżem?—przerwał Daliborski.

— O! gdy kto chce, może zawsze—odezwała się wojewodzina—na to niéma wymówki.

Głos jéj uwiązł w gardle ściśniętém... musiała odetchnąć silnie, aby módz mówić daléj.

— On tu jest nie bez przyczyny. To groźba dla mnie. Znam go; zdolnym jest do wszystkiego: napaść na ulicy, awania, potwarz, wkradnięcia się do *mego* domu, dostanie do ojca: wszystko możliwe teraz...

Mówiła szybko, gorączkowo, z gniewem tłumionym, zamiast wdzięczności okazując staroście niechęć największą.

— Ja z tém przybyłem umyślnie.

— Cóż mi z tego!—odparła wojewodzina.

Zamilkła, widząc że na nią zdala spoglądano, zawahała się, sprobowała śmiać, aby skłamać wesołość, ale pierś jéj podnosiła się zburzona; niemogła wstrzymać: buchała z niéj złość.

W téj chwili starościna, któréj oczy zdala śledziły córkę, przybliżyła się, domyślając, że coś stać się musiało.

Córka szepnęła jéj cóś do ucha, rzucono słowo jakieś Daliborskiemu, który, po oddaleniu się szybko dwóch kobiét, zwrócił ku stolikowi. .

Podjął był kartę leżącą na ziemi, i nie patrząc na nią, wsunął na stół okrywając złotem, dobytém z kieszeni: ustąpiono mu się nieco. Daliborski i tu grając komedyą, w czasie gdy Tomatys ciągnął, rozpoczął rozmowę, jakby go los stawki nie obchodził wiele. Musiał go ktoś łokciem potrącić, aby mu dać znać, że wygrał. Starosta ciągnął daléj... rozmowę, i zostawił podwojone pieniądze. Z wielką zazdrością pięknych pań przeszedł tak trzy razy, a że talia była skończona, złoto obojętnie schował do kieszeni.

Zabłąkał się potém w salonie od grupy przechodząc do grupy, wsunął do pokoju bocznego, do sieni, w korytarz i znalazł się, widać oswojony dobrze z miejscowością, w garderobie wojewodziny.

Tu paliła się tylko mdłém światłem jedna lampa alabastrowa u sufitu zwieszona. Wielkie zwierciadło w ramach porcelanowych obrzucone zasłoną koronkową, stało naprzeciw drzwi, parę sof po bokach, berżerka i krzesła. W pokoju nie było nikogo, lecz natychmiast prawie wbiegła wojewodzina. Zbliżyła się do stojącego starosty zdyszana, ledwie mogąc mówić ze wzruszenia.

— Jestem przekonana, że znowu się coś knuje przeciwko mnie. Musiałam natychmiast nakazać w domu nadzwyczajną pilność, aby nikogo nie dopuszczano do wojewody i oko miano na Filipa. Filip dziś był na mieście.

Chodzić zaczęła żywo po pokoju.

— Jego nienawiść dla mnie równa się mojéj—zawołała—wiem, że na wszystko gotów; ja téż wszelkiemi sposobami bronić się muszę.

— Mnie się zdaje — odezwał się dosyć chłodno, nieco obrażony Daliborski—że tu poprostu idzie o pieniądze. Nie może wykraść panny, niemając ich.

— A scheda? a proces? Więc nieużyliście tego środka?—ze śmiechem złym zawołała wojewodzina.

— I owszem—odparł Daliborski—ale przeciwko ojcu, niéma siły coby go popchnęła, nawet namiętność dla téj dziewczyny.

— A waćpan, człowiek rozumny i doświadczony, wierzysz w to, że on ojca kocha. On! on! co nigdy nie kochał nikogo!

— Prócz pani—wtrącił Daliborski.

— Mnie!—impetycznie i bez wstydu zawołała kobiéta.—Mnie chciał mieć, ale nie kochał. Za grosz w nim serca!...

Uśmiechnął się Daliborski; wojewodzina patrząc na wystygnięcie jego, burzyła się coraz więcéj. Był to rodzaj pojedynku: starosta chłodem walczył, ona ogniem. Dał się jéj wygniewać, wiedząc, że na ostatku pomocy jego potrzebować będzie.

Tak się stało, gniew się w łzy rozpłynął: załamała ręce.

— Cóż począć? co robić!? Ja niemogę żyć, póki on tu jest.

Starosta wytrzymawszy dosyć długo, zbliżył się z cichym szeptem, którego musiała słuchać cierpliwie. Uspokoiło ją to nieco, po-

dała mu rękę, a że długo nie mogła z salonu być oddaloną, wróciła doń. Wyszli razem z garderoby: służba żeńska widziała to, lecz wojewodzina wcale nie dbała o ludzkie oczy i sądy.

X.

Tegoż wieczora było u hetmana towarzystwo męzkie na wieczerzy. Jedyna wśród niego siostra pani wojewodzicowa Mścisławska, która w roku 1764 liczyła się do pierwszych piękności dworu króla i pierwszych jego przyjaciółek, dziś po dwudziestu kilku leciech, z twarzą, któréj zbytnich rumieńców i czerwoności chorobliwéj żaden blansz niemógł pokryć, jeszcze bardzo żywa, śmiała i despotyczna, kręciła się wśród nadzwyczaj hałaśliwego tłumu.

Hetman był już przez nią poróżniony z królem śmiertelnie. Towarzystwo męzkie otaczające panią wojewodzicową, chociaż się dla niéj nie powstrzymywało od mów do zbytku swobodnych, wcale ją nie mieszało. Miała już teraz ona sama ruchy męzkie i mowę dobitną jak oni. Generał brygady wielkopolskiéj i strażnik Mierzejewski bliższy jéj dwór składali.

W drugiéj grupie widać było piękną, zamaszystą postać hetmana i jego twarz pełną życia, ognia i zuchowatości niepohamowanéj. Głową przechodził otaczających go, budową wydawał się olbrzymem, a życie szalone nie potrafiło mu odebrać ani siły, ani przedłużonéj młodości blasku.

Głos jego zagłuszał mówiących.

Obok w polskim stroju, słuszny, chudy, z twarzą wyrazistą a dziwacznie się wykrzywiającą, w postawie usiłującéj sobie nadać powagę junacką, z wstęgą Stanisława i gwiazdą, stał sławny Suchorzewski. Ile razy usta otworzył na krzykliwe jakie dowodzenie, śmiechy się mniéj więcéj tłumione słyszeć dawały dokoła. Ale zarazem wołano—Brawo Suchorzewski! brawo!

Orator brał to za dobrą monetę i rękami wywijając, w piersi się bijąc, podrzucając ramionami, perorował coraz głośniéj.

— Zmiłuj się Suchorzesiu, duszo moja! broń Boże schrypniesz, kto za nas wszystkich mówić będzie na sejmie. Szanuj swój znakomity głos, jest nam potrzebny, a ty jesteś tubą, przez którą my mówić mamy: tyś usty naszemi.

Trudno było Suchorzewskiego powstrzymać gdy się rozpalił, hamowano go nadaremnie, podnosił głos aż do wrzasku.

— On jest jak koń tabunny, co gdy pot poczuje, niéma na niego rady... nosi!—zawołał hetman.

— Suchorzesiu! zaklinam cię na wnętrzności Republiki, która cię na świat wydała, hamuj zapał i oszczędzaj animuszu. Wyekspensujesz się, wyszepczesz, a my bez ciebie...

— Nie bój się, hetmanie!—zawołał Suchorzewski, szeroką dłonią tłukąc się w pierś chudą — stanie mi głosu i animuszu w obronie źrenicy wolności naszéj. Stanę przeciw nowatorom jako mur, stanę i nie ustąpię... zobaczycie... Czego nikt nie będzie się ważył, ja wypowiem.

Hetman się pochylił do ucha Benedyktowi Hulewiczowi.

— A co?—spytał.

Dowcipny Hulewicz odparł pocichu.

— Dalipan, prawda! czego się nikt nie waży, on mówi: nawet głupstwa!

Suchorzewski tymczasem, wśród ogólnego śmiechu, ciągnął daléj o źrenicy, o despotach i o nikczemnych konspiratorach, którym się śniło szlachtę zrównać z chłopami.

— Paradny Suchorzewski! niéma równego!—szeptał hetman.

— Przepraszam—rzekł Hulewicz—a kasztelan łukowski?

— Ba! jest różnica—odezwał się Branicki.—Kasztelan łukowski śmiało prawi, nawet brednie, ale zimno. Suchorzewski ma ukrop w gębie... To coś znaczy.

— Gdyby miał smak w niéj!—dodał Hulewicz.

Tak rozprawiano, gdy odedrzwi wchodowych dał się słyszeć śpiew. Były to dwa głosy, jeden udający dyszkant fałszywy, drugi wtórujący mu basem.

Znana pieśń:

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije:
Łupu, cupu,
Cupu, łupu:
Tego we dwa kije!

wszystkich oczy zwróciła ku wchodowi. W progu stał w sukni rozpiętéj książę Kazio, trzymając pod rękę młodego pięknego mężczyznę, również podpiłego jak sam. Wracali z Woli po doskonałéj przedłużonéj biesiadzie.

Wojewodzicowa ujrzawszy syna, podsunęła się ku niemu.

— Kaziu!—zawołała trochę nadąsana—Kaziu!

— Mamciu kochana!—odparł, w rękę ją całując książę—wracamy z Woli. Było doskonałe wszystko.

— Klin klinem!—krzyknął hetman—dawajcie wina i kielicha.... inaczéj zachorują.

Smiech ogólny towarzyszył, wojewodzicowa ruszyła ramionami. Książę Kazio tymczasem prezentował towarzysza.

Był to, jak się domyślić łatwo, nasz wojewodzic, którego historya dobrze była znaną całemu niemal temu światu. W sądach ludzkich między nim a ojcem i macochą różnili się wielce ci, co je ferowali. Byli niektórzy za synem, inni za macochą. Mężczyzni trzymali w ogóle stronę pięknéj wojewodziny, która ich czarowała; kobiéty litowały się nad wojewodzicem.

Matka księcia Kazia przypatrywała się okiem wielkiéj znawczyni ślicznemu chłopakowi, który pomimo upojenia trzymał się lepiéj niż jéj syn, i swą butą mógł się podobać.

Szeptano między sobą spoglądając nań, ruszano ramionami i coś opowiadano pocichu.

Wicuś wcale nie zmieszany był towarzystwem, w które został wprowadzony, raźno się skłonił hetmanowi, a gdy książę szukał miejsca, by spocząć, i padł na kanapę, okazując chętkę do drzémki, bo dwie nocy nie spał, a dwa dni ucztował; wojewodzic na nogach, w boki się wziąwszy, poczynał rozmowę wesołą, odpowiadając na zaczepki i pytania.

Widząc syna usypiającego, wojewodzicowa przysiadła się trochę do niego, poprawiła mu głowę, usiłowała dopytać go, czyby cytryny nie chciał lub wody; ale książę mruczał już tylko i nic odpowiedzieć nie mógł.

Hetman z kilku poważniejszemi gośćmi stanąwszy nad siostrzeńcem, zaintonował z kielichem w ręku:

— Dobranoc!

Na wszystkie strony przyśpiewywano ten wyraz, i Suchorzewski nawet schrypłym głosem dopomagał, ale książę się nie obudził.

Wprowadzony przez niego gość zrazu się trochę znalazł osieroconym, wprędce jednak towarzyszów sobie dobrał.

Wieczerza jeszcze była nie gotowa.

Nie było Tomatysa, ale amator jakiś, otyły, po polsku ubrany, dobywał już z kieszeni pod żupanem kiesę ogromną i sypał na stół dukaty. W mgnieniu oka grupa się dokoła sformowała. Wojewodzic, który się najbliżéj stolika znalazł, popychany, stał naprzeciw tego błyszczącego złota, wpół zamglonemi oczyma je mierząc.

Sięgnął do kieszeni.

Pustą była; ręką począł się po niéj krzątać, i wydobył monetę, któréj się musiał przypatrzeć, obawiając się aby berlinką nie była.

Był to dukat ostatni, ale jaki! Historyą burzliwego żywota nosił na sobie wypisaną: wytarty był, pogięty, obcięty, wyszczerbiony, cerę miał schorzałą i wybladłą. Lecz dukatem był, tego mu nikt zaprzeczyć nie mógł; właśnie jednym z tych wywołańców, któremi się nie płaci nikomu, nikogo nie obdarowuje, które tylko na zielonym stoliku kurs mają i w tłumie uchodzą za rzetelne stworzenia.

Wojewodzic obejrzał tę sierotę na wszystkie strony, obmacał go... i na kartę postawił.

Tłusty ów mężczyzna popatrzał na stawiącego, potém na dukata, a że mu grzeczność nie dozwalała protestować, ciągnął.

Inni stawili po sto... Hetman chciał zbić bank na jednę kartę: nie dopuszczono. Kulfon wygrał.

Otyły mężczyzna z kupy wybrał mu rodzonego brata, drugiego takiego łotra, włóczęgę, który boki miał dobrze wytarte, i rzucił wojewodzicowi. Wygrywający zmienił tylko kartę i stawił dwa na stracenie.

Lecz miał tego wieczora szczęście tych, co innego nie mają. Ze dwu zrobiło się cztery, a że kulfonów pod ręką nie miał otyły bankier, dorzucił pogardliwie dwa niczego. Wojewodzic, który był graczem namiętnym, zmienił znów kartę i wystawił cztery... Wygrywał...

Ktoś z tyłu chciał się już do następnéj karty przystawić, ale wojewodzic odmówił. Szło daléj. Tłusty bankier szeptał zły, że kulfon był inkluzem.

Kupka niezgorsza złota zebrała się przed wojewodzicem; tłusty spoglądał nań z ukosa gniewnemi oczyma, szepcząc: — A pókiż tego będzie? Ale im się bardziéj gniewał i perzył, tém mu się gorzéj wiodło.

W pasyą go to wprawiło.

Wojewodzic z flegmą zbierał karty po podłodze, po stoliku, nie patrząc, i stawił. Twarz miał obojętną wielkiego pana, który gra dla zabawki.

Wszyscy ciekawie się przyglądali, a co karta wyszła, śmiech się rozlegał.

Tłustemu jegomości ręce drżały, pot się lał z czoła. *Casus* był niepraktykowany. Powziął to najmocniejsze przekonanie, iż pierwszy dukat, ów obrzydliwy kulfon, był istotnie inkluzem i że on to robił nie kto inny, że wojewodzic wygrywał.

Prosił o pozwolenie wymienienia owego paskudnika na najprzedniejszego ze swoich: wojewodzic zezwolił. Wszyscy nań zahuczeli, że szczęście oddaje.

— Nigdym go nie miał!—odparł śmiejąc się wojewodzic.

Postawił już po raz kilkunasty wszystko co wygrał. Cała galerya otaczająca stół przestała poniterować, czekając wypadku. Tłusty ciągnął pomaluteńku, nie odkrywał odrazu kart, pot mu ciekł z czoła. Widać było, że nie szuler z profesyi, wziął się do nieswojéj rzeczy.

Ogromnym okrzykiem powitano damę kierową:—wygrała!

Bankier cisnął kartami.

Gra była z nim skończona.

Z obojętnością nawykłego do wszelkich zmian losu, wojewodzic zgarnął pomału swe złoto, napakował niém kieszenie i wiedząc że na chwilę gra została przerwaną, odszedł od stolika.

Hetman, który go dobrze znał, a był równie poufale i z nieznajomymi, obie ręce położył mu na ramionach i szepnął do ucha:

— Nieprawda? udało ci się?

— Nieźle—rzekł obojętnie wojewodzic—tém bardziéj, żem tego szelmostwa potrzebował.

Podano kielich, wychylił jeszcze i siadł. Dawano wieczerzę, poszedł obudzić Kazia, ale tego się doszturchać nikt nie mógł; zostawiono więc go chrapiącym na kanapie.

Hetman był w rzadkim humorze, towarzystwo dobrane, wojewodzicowa odjechała, pozostali więc mieli swobodę zupełną.

Wzięła się pijatyka straszliwa, a Wicek, który już dawno w tak dobraném nie bywał gronie, odzyskawszy przytomność jakimś sposobem cudownym, dokazywał tak, iż hetman nieustannie go całował, nie mogąc się nim nacieszyć.

Jak przy grze i tutaj rej wodził.

Szczęściem, że gospodarza nie tknął, bo ten sławny z nieustraszonego męztwa, drażliwym był i burzliwym; zato gości przy stole Wicek nie oszczędzał, a że się gniewali, hetmana to bawiło. Kilka rązy zdawało się, że przyjdzie do szabel, lecz rozgrzanych zmitygowano.

Suchorzewski, który już był mocno napiły, a tém gadatliwszy, iż mu się język plątał, począł na młodzież wygadywać.

— Coto, mosanie! teraz za ludzie!—bełkotał—od naparstka się to spije, a potém... oto tak jak książę generał, nieprzymawiając, tylkoby spało! U nas bywało przecie inaczéj!.. u nas po bankiecie, na konie; w pole, w las aż się kurzy. Dziś po kieliszku jednym, drugim, nikt się już na siodle nie utrzyma.

Hetman, który słuchał, dopijając kielicha, wybuchnął.

— Kłamiesz Suchorzewski! i ja stary dowiodę ci to.

Napuszył się trochę Suchorzewski.

— Hetman do tych nie należysz, o których mowa!—zawołał.

Branicki się obejrzał po otaczających.

— Mości panowie! kto mi druh, ten ze mną! Dalipan, Suchorzewski ma doskonałe pomysły.

Skinął na hajduka.

— Siodłać konie! ile jest na stajni!...

Noc była pogodna, ale czarna jak atrament, a we wszystkich głowach szumiało; jednakże nikt się nie wymawiał.

— Na konie i na Wolę! tam dolejemy! bośmy tu nie dokończyli jak należy; nikt się z nóg nie zwalił, a po naszemu, trup być musi!...

Jeden ze starszyzny mruknął:

— Jak acaństwo w taką noc na szalone konie wsiądziecie i po szalonemu popędzicie, gotów być trup naprawdę.

Suchorzewski rad się był wycofać.

— Hetman żartuje!—rzekł pocichu.

— Ze mną niéma żartów!—odparł zagadnięty. Obejrzał się po swoich. Jeden z pierwszych Wicek się stawił do boku.

— Jedziemy! słowo się rzekło, a będzie trup! no, to co?

— Konie! konie!—wołał hetman niecierpliwie.

Zawieruszyło się w sali i niektórzy ichmoście wysuwać się zaczęli, aby na skręcenie karku nie lecieć, wiedzieli bowiem, że istotnie z Branickim żartów nie było. Jeździł doskonale, a podżegnięty nie

uląkł się i dyabła. Dotrzymać mu po nocy, na koniu nieznajomym, a gorącym i ostrym, jakie na stajni zwykle były, mogło i o śmierć przyprawić.

Zaczęli starzy odradzać, Suchorzewski, który się z tém nieszczęśliwém wyrwał słowem, całował hetmana po ramionach, ale to już nie mogło pomódz. Sposobiono się jechać na Wolę.

Wkrótce pod oknami pokazało się światło, masztalerze i posiodłane konie. Hetman pod siebie miał tureckiego ogiera, zowiącego się sułtanem, z którym się znał doskonale; inni nie mogli wybierać: co komu pod rękę podpadło chwytał. Wojewodzic téż, nie patrząc nawet, co mu podano, za cugle ujął i na karego ogiera skoczył, który natychmiast stanął dęba. Ale miał do czynienia z jeźdźcem śmiałym, wprawnym i silnym i otrzymawszy naukę, wnet się stał posłusznym, jak baranek.

— Panowie! za mną! kto mnie kocha!—zagrzmiał głos hetmana, który ruszał z kopyta w cwał.

Nie zebrało się więcéj nad dwunastu śmiałków, zatętniał dziedziniec pod kopytami, wyrwali się w ulicę i... co konie wyskoczą ku Woli. Szalona to była jazda, w któréj na instynkt koni, więcéj niż na rozum własny, spuszczać się potrzeba było. Wprawdzie drogę znali panowie, a potrosze i konie, ale noc utrapienie czarną była, a świeżo deszcze zalały ją kałużami. Hetman pędził, nie zważając na nic, środkiem, konia swego nagląc i ostrogami i nahajką: błoto tryskało z pod kopyt. Z dwunastu towarzyszów, nim się wydobyli z miasta, dwu leżało w błocie i konie ich biegły same, dopędzając towarzyszów; daléj nieco zabrakło trzech, z którymi się nie wiedziéć co stało.

Wojewodzic, mający kieszenie pełne wygranego złota, sypał mimo wiedzy i woli dukatami po drodze, ale trzymał się za hetmanem dzielnie i tak mu ta szalona jazda dobry humor sprawiła, że poświstywał i pośpiewywał.

U drzwi nowego budynku, postawionego przez Szulca, paliły się dwie latarnie i wesoła jakaś kompania, na obiad tu przybyła, jeszcze go kończyła. Gdy hetman nagle sułtana strzymał u drzwi, koń się rozparł i tchnąć prawie nie mógł. Wojewodzic ze swego skoczył cały, wytrzeźwiony i wesół, jak już nie był dawno.

Na Woli zawołano o szampana, który już wówczas wielce wchodził w modę, choć go starzy lemoniadką nazywali. Poczęła się pijatyka i dzień był już jasny, gdy hetman wymknął się na koń, do domu·

Kilku usnęło, a Wicek siadł na ławie spocząć trochę. Spać mu się nie chciało, ale głowa rozpalona szumiała.

Na zakończenie téj szalonéj wyprawy potrzebował awantury jeszcze. Palce go świerzbiały. Na Woli jednak nie znalazł nikogo do wyszydzenia, podrażnienia i wybicia się. Przesiedziawszy chwilę jeszcze, musiał pomyśléć o dostaniu się napowrót do miasta. Szczęściem najemna karetka, któréj właściciel odpoczywał bezwładny, ofiarowała się go przewieźć pod „Orła” na Tłomackie. Wicek się w niéj rozłożył wygodnie i przespał nim dojechał.

Rozbudził go sługa z gospody i dopomógł dojść do mieszkania. Dzień już był jasny i wielki.

Wojewodzic więc, innego nie potrzebując na znużenie lekarstwa, oprócz zimnéj wody, mieszkanie swe całe zatopił nią, oblewając się od stóp do głów.

Z rachunku kieszeni okazało się, że mimo rozsianych po drodze dukatów, jeszcze ich zostawało około tysiąca.

Popatrzywszy na nie, rozśmiał się Wicek do siebie.

— Nigdym się nie spodziewał, ażeby Opatrzność względem mnie tak poczciwą być chciała!—rzekł cicho.—Znalazła się co się zowie ładnie. Wypadałoby do Pepity wracać zaraz, ale zobaczymy: dzień jeden nic nie znaczy.

W gospodzie zbliżała się obiadowa godzina. Na dole jadało gości dosyć, stół był zawsze obsadzony, a po jedzeniu nieraz i karty nań wychodziły. Wszystkim, oprócz wojewodzica, było wiadomo, że pod „Orłem” czatowali zawsze na podróżnych, rozmaitego rodzaju kawalerowie *de bona* fortuna, cudzoziemscy i domorośli, starając się zawiązywać znajomości, wyciągnąć na grę, czasem podejmując się przyjemne ułatwić stosunki z płcią piękną.

Niejeden już padł ofiarą tych ichmościów, co nie przeszkadzało innym łapać się na ten sam lep i przypłacać drogo dobrowolność swoję.

Wojewodzic wystroiwszy się, odświeżony, spuścił się na dół nucąc i kręcąc wąsa. Wygrane pieniądze czyniły go jakby innym człowiekiem. Miały one wpływ na niego ogromny, bez nich często tracił na duchu, żart miał gorzki, humor drażliwy; gdy mu na nich nie zbywało, wesołość odzyskiwał i dużo przebaczał, nie kąsając tak zjadliwie, w śmiech obracając wszystko.

Zszedłszy na dół, gdyby był Wicek nie tak roztargnionym, mógłby dostrzedz, że czteréj ichmoście jacyś, z których dwu było po francuzku ubranych, skoro go ujrzeli trącili się łokciami. Zdawali się oczekiwać na niego, chociaż nie musieli być znajomi mu, bo się nie przywitali. Przy wielkim stole, u którego wojewodzic zajął miejsce w jednym końcu, ichmoście ci zasiedli nieopodal tak, aby nie okazać, że go miéć chcieli blizko, a nie siąść téż zadaleko.

Jeden z nich począł rozmowę po francuzku, narzekając na srogi nieład i niewygody stolicy.

Odpowiedziano mu łamaną francuzczyzną, potakując potrosze. Wojewodzic słuchał nie odzywając się długo. Nie było w jego obyczaju milczéć i z ludźmi będąc od nich się odstrychać.

Gdy ów, jak się zdawało francuz, coraz grubiéj i nieoględniéj na Warszawę wygadywać począł, w końcu wojewodzicowi się jakoś zrobiło dziwnie i wytrzymać nie mógł. Zabrał tedy głos po francuzku, ironicznym tonem.

— Przepraszam, że się nieznajomy do rozmowy mieszam—rzekł —pozwoli pan spytać, jak dawno z Paryża?

Francuzowi oczy zaświeciły; głowę nieco pochylił i odparł grzecznie:

— Niestety! już w tym kraju kurzu i błota bawię dość długo i miałem czas nakarmić się obojgiem.

Za tym wstępem wylał się cały potok wyrazów, których wojewodzic z drwiącym na ustach słuchał uśmiechem, towarzysze francuza pomagali po polsku. Przysunięto talerze i szklanki, zrobiła się prędka znajomość. Francuz był odprawionym kapitanem z pułku imienia Massalskich, który biskup wileński sztyftował, a że się go pozbyto w sposób bardzo niegrzeczny i z pułku i z miasta, piorunował na niewdzięczną ziemię, któréj przybył ofiarować swe usługi. Drugi z ichmościów był dawnym porucznikiem kawaleryi, dwu pozostałych o kwalifikacyach swych nie mówiło. Wszyscy mieli miny gęste i jak się z rozmowy wywiązywało, życia i rozrywki byli spragnieni.

Kapitan francuz sypał imiona znacznych domów, w których był poufale i przyjacielsko przyjmowany, ale wszystkim złośliwe łatki przyczepiał.

Jak się to stało, że pod koniec obiadu, po kilku butelkach burgunda, gdy gęba się francuzowi nie zamykała, wpadł na dom wojewo-

dy, ojca tego, z którym mówił, było-li to przypadkowém, czy umyślném? zgadnąć trudno. Stało się wszakże, iż gdy tych słów domawiał:

— Stary rogacz i ciemięga!

Wojewodzic podniósł się nieco, rękę wyciągnął i z najzimniejszą krwią, dawszy mu w twarz, siadł jeść daléj.

Wszyscy czteréj porwali się na niego z wrzawą okrutną. Na stoliku poza wojewodzicem leżała szabla jego i musiał za nią pochwycić. Francuza, dobywającego szpady, przyjaciele pohamowali, inni goście nadbiegli w pomoc wojewodzicowi i sprawa skończyła się wyzwaniem, tegoż dnia na Wolę.

Obiad spokojnie rozpoczęty skończył się burzliwie, kapitan ze swymi wyszedł zaraz, a wojewodzic, któremu nigdy oczekiwanie rąbaniny apetytu nie psuło, obiad swój i wino dokończył z taką zimną krwią, jakby się nic nie stało.

Pojedynek umówionym był na poobiedzie. Nie miał czasu ani ochoty może wojewodzic szukać sobie sekundanta i postanowił stawić się sam na placu. Przytomni zwadzie, radzili mu się opatrzyć w towarzyszów, zaco wojewodzic podziękował z uśmieszkiem.

Posiedziawszy jeszcze z pół godziny za stołem, baraszkując jaknajweseléj, Wicek wstał w końcu i śpiewając poszedł na górę, kazawszy sobie fiakra sprowadzić, z którym nazad spodziewał się powrócić.

W gospodzie pod „Orłem," widząc go wyjeżdżającego tak nieopatrznie samego, służba głowami potrząsała szepcząc: „pojechał." Wieczór był piękny bardzo, powietrze miłe.

W godzinę może po wyjeździe wojewodzica z pod „Orła" zjawił się tu Daliborski.

W sali na dole dwu starych polonusów grało w maryasza; starosta, który wszystkich znał, przypomniał się zaraz znajomości ich i od niechcenia spytał: czyby co niesłyszeli o awanturze dzisiejszéj, o któréj mu w ulicy coś opowiadano.

— Znam tego młodego panicza, który francuzowi tak mocno rękę przyłożył do twarzy! Co się z nim i z tamtymi stało? Nie możecie mnie nauczyć?

— I owszem!—rzekł jeden z grających—ja tu byłem, gdy się ta historya rozegrała. Że francuz dostał po pysku, nie widzę w tém nic zdrożnego. Wyzwali się, chłopak chwat, rozumu go nauczy.

— Czy już pojechał?—zapytał Daliborski.

— Będzie z godzina!
— Z kim?
— Zdaje się, że sam.

Starosta, człowiek bardzo czynny i spieszący się zawsze, widać w Warszawie miał wiele czasu do stracenia, bo się przysiadł do maryasza i przypatrywał grze spokojnie.

Rozmawiano o różnych rzeczach do zmierzchu. W ostatku grający dokończyli puli, rozpłacili się i odeszli, a Daliborski, kazawszy sobie dać łampkę wina, pozostał.

Już i na wieczerzę zaczęli się zbierać goście do dolnéj sali, a Daliborski, niekiedy przez okna niespokojnie wyglądając, siedział i siedział.

Wtém fiakr, jadący noga za nogą, zatrzymał się przededrzwiami gospody i w téjże chwili zewsząd ku niemu służba, z ulicy ludzie, gawiedź wszelaka, zbiegać się zaczęli: hałas się zrobił.

Daliborski wina nie dopiwszy, za czapkę pochwycił i wybiegł. Przechodząc około fiakra, który już tłum otaczał, spojrzał i zobaczył we krwi broczącego, z głową zwieszoną wojewodzica, którego bosy i odarty chłopak, z ulicy pewnie wzięty, podtrzymywał. Twarz była śmiertelnie bladą, usta otwarte, a przez nie ciekła krew spiekła.

Starosta rzuciwszy okiem w głąb powozu i nie chcąc się widać mieszać do téj sprawy, natychmiast się cofnął i przez tłum przebiwszy zniknął.

Tymczasem litościwsi ludzie po doktora posłali, a gospodarz zajął się, lamentując, wydobywaniem z fiakra wojewodzica, który zaledwie znaki życia dawał. Nie był rannym jak zwykle w pojedynku raz tylko, pchnięć kilka w piersi krwią buchało, głowa była poraniona, stan nieszczęśliwego zdawał się zrozpaczonym. Dyszał jednak jeszcze i niekiedy drgał, jakby się chciał porwać.

W tym stanie zniesiono go na górę do izdebki i złożono na łóżku. Opieki żadnéj, oprócz téj, jaką gospodarz mógł dać, nie było. Niewiadomo nawet dokąd się zgłaszać po nią, wojewodzic imienia swojego nie podał, a nikt z obecnych go nie znał.

Daliborski zaś nie musiał się wcale losem rannego zajmować, bo się i sam nie pokazał już więcéj i nikt téż inny nie przyszedł. Szczęśliwym wypadkiem, książę Kazio przejeżdżał przez Tłomackie, gdy skrwawiony fiakr i około niego tłum ciekawych stał jeszcze, a że go każda awantura zajmowała, zatrzymał się rozpytać co to było.

Wiedział, że Wicuś stał pod „Orłem," tknęło go zaraz, iż ten ranny mógł i musiał nim być. Wpadł więc na górę i zastał zaledwie dyszącego przyjaciela, około którego nawet felczera jeszcze nie było. Niepoobwiązywane rany krwią płynęły.

Książę miał serce złote, widok ten wprawił go niemal we wściekłość i w momencie rozesłał ludzi po doktorów. Interesowanie się, znanego w mieście i lubionego księcia tym rannym, wzbudziło wnet współczucie dla niego.

Przybyły zbawca, chociaż mu bardzo pilno było tam, dokąd jechał, pozostał przy chorym, aż do przybycia najprzód dwu felczerów, a w pół godziny doktora Beckera.

Za owych czasów, gdy spotkania między szlachtą i pojedynki były daleko częstsze, niż dzisiaj, felczerowie nawet mieli wprawę wielką w staraniu około rannych. Pierwszy, który się zjawił, gdy suknie rozpinać zaczęto i obnażono ciało, krzyknął, że niéma ratunku.

Potwierdził to drugi, który nawet nie chciał się zabierać do bandażowania, gdy wreszcie przybywający Becker, w milczeniu głową potrząsłszy, zabrał się sam rany oglądać i obwiązywać. Życia znaki objawiały się jeszcze.

— Mów mi prawdę!—zapytał książę—jest jaka nadzieja?

— Bardzo mała—rzekł flegmatycznie Becker zakasując rękawy.—To nie był pojedynek, ale morderstwo. Rany nie są jedną szpadą zadane. Krwi uszło wiele, a czasu stracono jeszcze więcéj.

I milcząc pochylił się nad napół martwém już ciałem wojewodzica.

Koniec Tomu I-go.